

NR 52

październik-grudzień

2005

aleje 3

**KWARTALNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY**
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł

**Święto
Zmarłych**

**87 rocznica odzyskania
niepodległości**

**25 rocznica protestu
w Klubie „IKAR”**

**175 rocznica
Powstania Listopadowego**

**350 rocznica
Obrony Jasnej Góry**

6 MARCA 2004, GODZ. 19.00
www.garazfestiwal.prv.pl

GARAZ

T O M E K
STANKO

freeelectronic



Jan Ptaszyn Wróblewski

1908-2008
1000-0000
Pawel Rabinowicz
Museum Carbon

Witek Pawek - piano
Rimke Trannek - bas
Alek Selek - drums



**MATEUSZ
POSPIESZALSKI**

dj. HM



SMOLIK | KLAWISZE
KONDRACKI | KLAWISZE
FALKOWSKI | BĘBNY
GRALAK | TRĄBKA

27.02.04
GODZ. 21.00





aleje 3

Kwartalnik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dra Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360 56 28
www.biblioteka.czyst.pl

Redakcja

Aleja NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360 56 28
e-mail: aleje3@poczta.onet.pl

Teksty niezamówione nie będą
zwracane. Zastrzegamy sobie
możliwość opracowania i skracania
przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji.

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505 666 486
e-mail: mprawinis@poczta.onet.pl

Oprac. graf. numeru

Marian Panek

Skład i łamanie

Krzysztof Król

Druk

Drukarnia "TEXMET"

Publikacja współfinansowana
przez Samorząd Woj. Śląskiego



Codzienny rytm współczesnego życia, szybki, nerwowy, rzadko pozwala nam przystanąć i przypomnieć sobie o przemijaniu. A przecież przemijanie to podstawowe prawo świata. Dobrze, że każdego roku jest listopad. Listopad nam o tym przypomina. Opadłe liście bardziej działają na naszą wyobraźnię niż zaznaczane w kalendarzach daty świąt i urodzin. Dziś nawet dzień Wszystkich Świętych, zwany także Świętem Zmarłych, nie zawsze skłania do refleksji. Bywa świętem spotkań i rewią mody. Dobrze, że nadal jest świętem umożliwiającym spotkania. Spotkania żywych z żywymi ale i spotkania przy grobach tych, którzy odeszli. Rzadka okazja do refleksji o przemijaniu, o już nieobecnych. Rzadka okazja do przypomnienia naszych najbliższych według krwi i według serca. Myślimy o ludziach, którzy wywarli wpływ na nasze życie, na nasze decyzje i wybory. Są to często ludzie, których bezpośrednio nigdy nie spotkaliśmy. A jednak wywarli na nas wielki wpływ i sądzimy, że będziemy o nich zawsze pamiętać. To dziwne, bo przecież często nie pamiętamy naszych dziadków i mało wiemy o pradziadkach. Mimo dzisiejszej techniki niewielu z nas pomyślało, żeby istnienie naszych rodzin utrwalić w postaci fotografii, wspomnień, filmów, choćby głosu. Zawsze myślimy, że jeszcze zdążymy to zrobić, że jeszcze jest czas, że jeszcze nie ma się po co spieszyć. Przychodzi listopad, patrzymy na opadłe liście, na groby na cmentarzach i poraża nas świadomość przemijania. Stajemy zaskoczeni. To już 350 lat od obrony Jasnej Góry? To już 175 lat od Powstania Listopadowego? To już 25 lat od protestu w klubie „Ikar”? Już 25 lat, a przecież zdaje się, że było to dopiero wczoraj. Dziewięć dni w klubie MPK, strajk – nie strajk, ogromne, wielotysięczne tłumy częstochowian zjednoczone w sprzeciwie wobec systemu. Władcy naszego regionu: wojewodowie, prezydent miasta, sekretarze musieli ustąpić przed wolą mieszkańców miasta. To jedyny taki wypadek w Polsce. Czy wystarczająco o tym pamiętamy? Czy w ogóle pamiętamy? Świat zmienia się na naszych oczach. Zmienia się, a my bardzo szybko zapominamy, że żyliśmy gorzej, biedniej i trudniej. I tylko czasem, w listopadzie, przypominamy sobie o przeszłości. Jeszcze całkiem niedawno, dwadzieścia pięć, dwadzieścia lat temu prezydent Częstochowy był urzędnikiem mianowanym bezpośrednio przez premiera rządu! Dziś wydaje się to absurdalne i niewiarygodne. Premier miałby wyznaczyć wóldarza w mieście powiatowym czy nawet i wojewódzkim? A gdzie woła ludu, wybory, swoboda wypowiedzi? Historia jest nauczycielką życia, ale dzisiaj rzadko o tym pamiętamy. Bo czegoś uczy nas historia ponad to, że wszystko przemija? Tylko listopad pozwala pomyśleć, że przemijanie to długi ciąg pokoleń, długi ciąg wydarzeń, a wydarzenia z przeszłości mają bezpośredni wpływ na nasze dzisiejsze życie. Miała znaczenie obrona Jasnej Góry, miało Powstanie Listopadowe, odzyskanie niepodległości w 1918 roku? Oczywiście, że tak. Miał także sens protest w „Ikarze” w listopadzie 1980 roku. To nie tylko historia, to także wyrastająca z niej terażniejszość. Miejmy nadzieję, że coraz lepsza i coraz doskonalsza. "Zatrzymaj się - napisał Jan Paweł II w *Tryptyku Rzymskim* - to przemijanie ma sens". Pomyślimy czasem o tym. Nie tylko w listopadzie.

Marian Piotr Rawinis



Anna Purska

Zmierzch.

Zgubiłam na cmentarzu szal, cenny dar.

Ostrożna i czujna jakbym wchodziła w gęsty, gęsty las
wróciłam szukać.

Spokój.

Umarli śpią.

Przed krokiem idą czułki spojrzeń rzuconych na boki.

Drzewa jak mgliste zjawy. Cienie.

Gdzieniegdzie pobłyskują światełka.

Zatopieni w myślach trwają aniołowie
lub trzymają na kolanach otwartą księgę,
albo dmą w nieme trąbki.

W spokojnej rezygnacji kamienna kobieta
głowę oparłszy na ręce oplakuje nędzę żywota ludzkiego.

Jakiś szelest. Nic, to tylko wiatr.

Szukałam aż po najdalsze zakątki cmentarza.

Nie znalazłam.

Zrobiło się ciemno, za ciemno.

Wracając wstąpiłam do kaplicy, gdzie trwała Msza Święta.

Kapłan głosił właśnie kazanie.

Słowa, które usłyszałam były dla mnie światłem
w zawilej sprawie.

Wydarzenie

Przewodnik po cmentarzu Kule

Cmentarz na przedmieściu Kule powstał w 1882 roku. W dwa lata później został wyświęcony i otwarty. Przeniesiono tu także starsze groby z likwidowanego w mieście starego cmentarza przy ulicach Ogrodowej, Fabrycznej (obecnie Mielczarskiego) i Piotrowskiej (ob. Piotrkowskiej). Ta nasza ważna i piękna nekropolia, zdobiona licznymi nagrobkami tworzonymi przez wybitnych artystów i renomowane warsztaty nie doczekała się dotąd kompleksowego opracowania. Napisanie i wydanie monografii stało się absolutną koniecznością zwłaszcza po umyślnym spaleniu przez nieznanych sprawców całej dokumentacji cmentarnej w grudniu 1999 r.

Na *Przewodnik biograficzny* historyka dra. **Juliusza Sętowskiego** czekaliśmy od kilku lat. Wiadomo było, że będzie to książka ważna dla poznania naszej historii. Po jej ukazaniu się można powiedzieć, że jest jedną z najlepszych tego typu książek wydanych w naszym kraju. Tym bardziej trzeba podkreślić, że pracę tę wykonał jeden człowiek.

Na kartach tej książki zawarte jest życie Częstochowy w przeciągu ostatnich stu kilkudziesięciu lat. Widzimy historię miasta poprzez losy 700 osób godnych, aktywnych, odważnych i ofiarnych aż do poświęcenia swojego życia. Są to przedstawiciele władz, przemysłowcy, działacze partyjni, spółdzielcy i społeczni, żołnierze i lekarze, nauczyciele, uczniowie, dziennikarze, rzemieślnicy. Mimo encyklopedycznej formy biografii są napisane bardzo żywo. Bo książka ta nie powstawała tylko poprzez kwerendy w bibliotekach i archiwach. Autor spędził wiele dni wędrując po cmentarzu i rozmawiając z rodzinami zmarłych. Pisał ją rodowity częstochowianin, związany z miastem od kilku pokoleń.

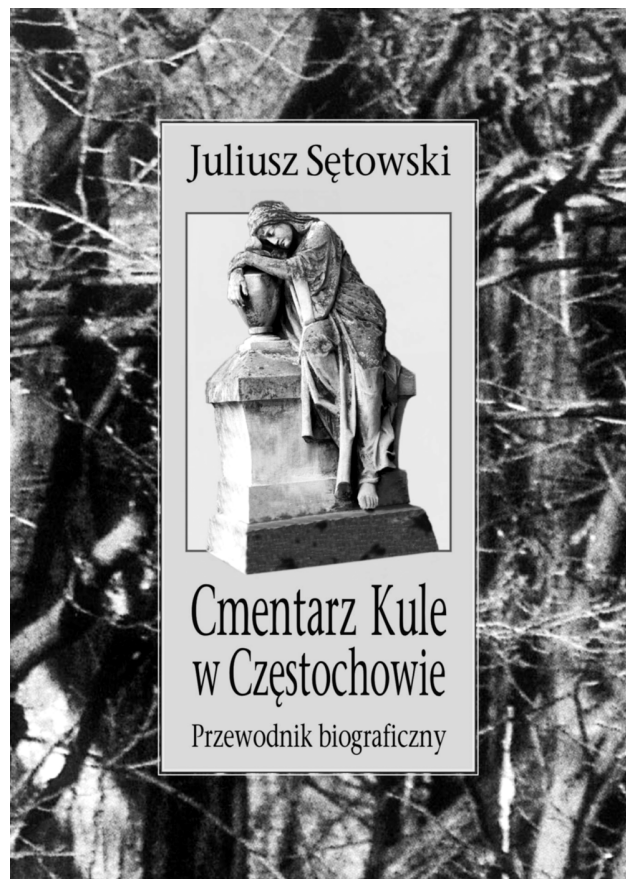
Książka zmieniała się do ostatniej niemal chwili, wciąż były uaktualniane dane w biogramach, dołączane hasła poświęcone zmarłym w roku 2005. Jednak jej wartość polega nie tylko na aktualności. O jej wadze decyduje głównie jakość pracy autorskiej. Uzyskiwane informacje Juliusz Sętowski wielokrotnie sprawdzał, w tym celu wyjeżdżał także do innych miast, prowadził także bogatą korespondencję, współpracował z autorami innych słowników. Sięgał do zachowanych dokumentów, wiele ich pozyskał także od rodzin. Było to znaczne wsparcie, uzyskiwał czasem kompletne biogramy lub opracowania, tak np. **Michał Seyfried** z Częstochowy udostępnił mu swoją kartotekę genealogiczną, a rodzina **Kosteckich** z Warszawy przesłała bardzo obszerne materiały do biogramów.

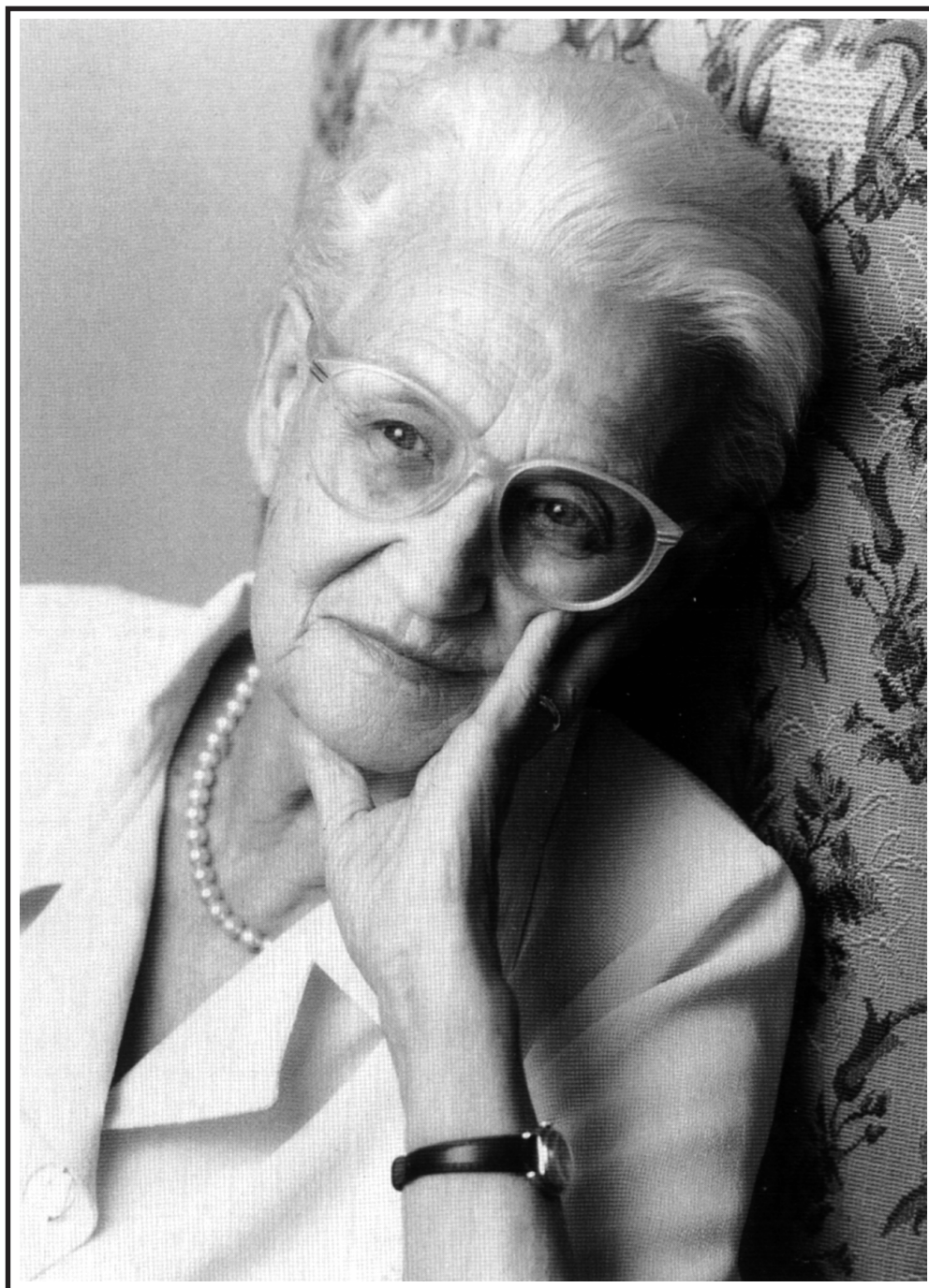
Przewodnik ma formę słownika. Struktura haseł była wzorowana na Polskim Słowniku Biograficznym, najlepszym opracowaniu tego typu w świecie. Każde hasło podaje dane o rodzicach i wybitnych przodkach zmarłego. Po właściwym biogramie następują dane o jego rodzinie. Podawana jest także bibliografia wraz z opisem zachowanych dokumentów i miejsca ich przechowywania. Właśnie krewni zmarłych jako pierwsi zainteresowali się *Przewodnikiem* i złożyli pierwsze zamówienia.

Książka już u pierwszych, nawet nieuprzedzonych czytelników wzbudziła duże zainteresowanie. Jest ładna i wydano ją bardzo starannie. Wydrukowano ją na szwedzkim kremowym papierze. Książka jest szyta, ma twardą oprawę i obwolutę, więc przetrwa lata. Nad wszystkim czuwał sam autor. Nic dziwnego, dla niego było to zwieńczenie 10 lat pracy. Juliusz Sętowski jest zresztą bibliofilem, czyli miłośnikiem pięknej książki.

Starannie też dobrał współpracowników. Opracowaniem redakcyjnym zajął się **Janusz Pawlikowski**, dziennikarz piszący o historii naszego miasta, autor cennego *Kalendarium*. Przez trzy lata Pawlikowski wspierał autora w zdobywaniu informacji, przepisywał biogramy i porządkował je. **Jacek Włodarczyk** dokonał opracowania technicznego całości i zaprojektował szatę graficzną, łącznie z zaprojektowaniem okładki i obwoluty.

Juliusz Sętowski: Cmentarz Kule w Częstochowie. Przewodnik biograficzny, Wydawnictwo Akademii im. J. Długosza, Częstochowa 2005, s. 396, ilustracje. (wp)





Fot. Piotr Dłubak

LUDMIŁA MARJAŃSKA

1923 - 2005

Tadeusz Gierymski

JAK POZNAŁEM

PANIĄ LUDMIŁĘ

Wspomnienie dawne i zarazem świeże, bo wyiskrzzone z cienia śmierci. Wspomnienie, na które nałożyła się mgła czasu, wydarzeń, kontaktów z innymi ludźmi, okres „męski, wiek kłęski”...

W pierwszych latach sześćdziesiątych pojechałem do Gdańska na zaproszenie, zdaje się, ZNP. Przybyli tamże młodzi (i nieco starsi też) nauczyciele z całej Polski. Nauczyciele parający się literaturą, głównie poezją, dramaturgią, krytyką literacką. To trzytygodniowe spotkanie zgromadziło ponad 50 osób. Były to właściwie wczasy, za które nic nie płaciliśmy. Domem wczasowym była szkoła opuszczona przez dzieci w okresie wakacji. Tylko raz dziennie zbieraliśmy się w świetlicy na tzw. warsztaty poetyckie. Czytaliśmy swoje utwory, dyskutowaliśmy, nieraz się namiętnie spieraliśmy. Prowadzącą te spotkania była **Ludmiła Marjańska**, poetka pełną gębą, powieściopisarka, tłumaczka z literatury angielskiej i amerykańskiej. Autorytet dla nas wszystkich. Kobieta w średnim wieku, pięknie mówiąca, elegancka, dama w każdym calu. Osobiście mnie (i chyba nie tylko mnie) podobała się jako kobieta. Podziwialiśmy jej wiedzę, urodę i umiejętność jasnego mówienia o rzeczach trudnych lecz istotnych dla adeptów sztuki pisania.

Któregoś dnia dyskretnie zaproponowała mi spacer. Naturalnie, zgodziłem się zaszczycony i wyróżniony tym projektem. Pogoda była wspaniała. Słońce, spokojne morze, bezwietrznie. W oddali zarys jakiegoś statku, woda łagodnie oblewała nasze stopy. Niedaleko od brzegu drobna flotylla łabędzi. Pamiętam, że skojarzyły mi się z rozproszonymi po sztormie karawelami Kolumba. Ptaki o szyjach wygiętych w kabłąk. Gdzieś pukał kuter rybacki wypływający z portu na połów. Wciąż dyskutując przeszliśmy ze dwa kilometry. W tamtych czasach łatwo było dojść na dziką, bezludną plażę. Przysiedliśmy w końcu na pniu wyrzuconym na brzeg przez fale. Teraz pomilczymy jak milczą wiersze Norwida – powiedziała kobieta. Wiedziałem o co chodzi. W utworach Cypriana Kamila bardzo często występują przemilczenia, przerwy toniczne. Takie literalne zatajenie znaczeń jest charakterystyczne dla autora „W Weronie”. Siedzieliśmy więc w ciszy patrząc na bezmiar wód, jakie u horyzontu pieniście białąły.

Wyjeżdżając do Warszawy pani Marjańska przyjęła ode mnie kilka wierszy, które potem miałem przyjemność usłyszeć w trzecim programie Polskiego Radia, gdzie moja nowa znajoma prowadziła raz w tygodniu poetycki program. Dziś już zapomniałem nazwy tego cyklu.

Od gdańskiego poznania się nasza przypadkowa znajomość powoli przekształciła się w przyjaźń. Opowiedziała mi wiele ze swej biografii, np. na temat okresu życia w młodości, kiedy mieszkała w Częstochowie, gdzie się zresztą urodziła i przetrwała okres okupacji niemieckiej. Okazało się, że należeliśmy do tej samej organizacji podziemnej (AK). O swoim wieloletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych, studiach a potem tłumaczeniach z języka angielskiego, zamążpójściu i wyjeździe do Warszawy.

Jedną istotną cech odróżniała Ludmiłę Marjańską od pozostałych wybitnych „emigrantów”. W przeciwieństwie do **Haliny Poświatowskiej** i **Tadeusza Różewicza** nigdy nie ukrywała, lecz stale podkreślała częstochowski pochodzenie, mimo że większość życia spędziła w stolicy. Do Częstochowy przyjeżdżała często. Po swoich spotkaniach poetyckich zwykle nocowała u swej szkolnej koleżanki i przyjaciółki **Krystyny Błasiakowej**. Raz tylko zaprosiłem ją do siebie, gdzie poznała moją żonę. Często zresztą podróżowała po świecie. Ostatnią zagraniczną podróż odbyła na Krete, skąd otrzymałem od niej list z dwoma wierszami, jakie wydrukowałem w „Alejach 3”. Właśnie listownie porozumiewaliśmy się przeważnie. Podczas moich okresów depresji wspierała mnie dobrym słowem i dodawała otuchy do życia. Mój pierwszy tomik poetycki („Rosa i rdza”) wydany w Warszawie zawdzięczam także pani Ludmile. Bez jej serdecznej namowy chyba nie wydałbym żadnej książki. To jedna z życzliwych i dobrych osób, jakie spotkałem w życiu.

I jeszcze jedno. Była wyjątkowo aktywna. Jeździła z odczytami i wieczorkami poetyckimi po całej Polsce do ostatnich dni życia. Na dwa miesiące, może trzy, przed śmiercią dostałem od Niej kartkę pocztową z Rzeszowa, dokąd została zaproszona.

Przed kilkoma dniami dowiedziałem się z telewizji o Jej śmierci. Zadziałała tajemnicza psychologia. Z dna pamięci wybrzmiała na me usta fraza z najgłośniejszej tragedii Szekspira. Horacy stojący nad zabitym w pojedynku Hamletem szept do niego:

*Dobranoc, cny książę,
Niechaj ci do snu nuca chóry niebian...*

Tadeusz Gierymski



Lidia Dürr-Zakrzewska, częstochowianka, urodzona w 1924 r. Jej rodzice: Janina z d. Murzynowska i Edmund Dürr – major WP. Lata szkolne spędziła w gimnazjum żeńskim im. J. Słowackiego, a od 1937 r. w Warszawie, gdzie jej ojciec po zakończeniu służby wojskowej objął funkcję nadkomisarza Policji Państwowej. Po wybuchu II wojny światowej znalazł się na Kresach Wschodnich i został zamordowany przez bolszewickie NKWD 22 kwietnia 1940 r. w Miednoje.

Lada okupacyjne Lidii to nauka na kompletach tajnego nauczania w Warszawie, kształcenie pianistyczne u prof. Trombini-Kazuro oraz aktywna działalność konspiracyjna. Walczyła w Powstaniu Warszawskim jako łączniczka 3. Batalionu Pancernego AK (Krzyż Walecznych). Z obozu jenieckiego wyzwoliły ją wojska brytyjskie. Znalazła się w Londynie. Tam ukończyła studia pianistyczne w Guildhall School of Music and Drama. Zawarła związek małżeński i wyemigrowała do USA. Została matką czterech synów, których jednak przyszło jej wychowywać już samotnie w trudnych warunkach materialnych. Podjęła pracę pedagoga muzycznego w Keene State College w New

Hampshire, a następnie w konserwatorium w Bostonie. Mimo kłopotów osobistych zaliczyła jeszcze studia rzeźby u prof. Mico Kaufmanna i studia nad literaturą zakończone magisterium. Obroniła wreszcie i doktorat z filozofii. Przez szereg lat pozostawała korespondentką z USA dla emigracyjnego dziennika „Wiadomości” w Londynie. Uehonorowana została nadaniem przez władze USA pełnych uprawnień kombatanckich wraz z należnymi przywilejami.

Jej niezwykle losy i koleje życia opisał w artykule „Lidka” Andrzej Grądzman w „Gazecie Częstochowskiej” oraz w nowojorskim „Nowym Dzienniku”. Z A. Grądzmanem oraz z serdeczną swą przyjaciółką z częstochowskich lat zmarłą niedawno Ludmiłą Marjańską (z d. Mężnicką) utrzymywała stałe kontakty korespondencyjne. Publikowany w naszym kwartaniku artykuł jest przedrukiem (z niewielkimi zmianami) materiału jaki opublikowała w „Dzienniku Związkowym” w lipcu br.

Lidia Zakrzewska

Wiązanka pięciu bajglów

Kilkadziesiąt, dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat temu, przeczytałam w jakiejś amerykańskiej książce, że Monte Cassino zdobyli... Australijczycy. Natychmiast napisałam do wydawcy, żeby tę nieścisłość – czy celowe kłamstwo – sprostować. List mój zignorowano. I słusznie. Takie sprostowanie powinno być wysłane przez Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, a nie matkę i gospodynię.

Niemiec, Hans Frank, gubernator naszego kraju pod okupacją niemiecką, napisał w swych przedśmiertnych zwierzeniach, że ma jeden dobry czyn na swoim sumieniu – uratował Jasną Górę od zagłady, gdy Niemcy planowali wysadzić ją w powietrze. Syn tego Franka, Niklas, cytował to w swojej, bardzo uczciwie ujętej książce.

Napisałam do Niklasa, że owszem, Niemcy podminowali Jasną Górę z wybuchem planowanym na czas rannej mszy, kiedy tysiące wiernych dziękowało Bogu za pierwszy dzień wolności, ale uratował ich od zagłady nie morderca Frank, a mój gimnazjalny nauczyciel śpiewu, **Edward Małosza**, który idąc o świcie w stronę kościoła, zauważył pod śniegiem drut. Nogą go odkopał, aż doszedł pod mur. Zaalarmował paulinów i bombę rozładowano.

Zdziwiony brakiem wybuchu, już wtedy były gubernator Frank, zapisał to sobie na swoje konto. Jego syn, pełen wstydu na ojca, odpisał na mój list natychmiast: *Gdybym to ja wiedział o tym przed napisaniem mojej książki... Jakie to typowe dla mojego ojca. Eksplozja się nie udała, więc kłamał w Norymberdze, że to on, osobiście, uratował Madonnę częstochowską! Mogę tylko obiecać, że przy drugim wydaniu mojej książki opiszę prawdziwe wydarzenie z dynamitem. Powiedziałem to w wywiadzie z polską TV w moim domu. Jak mi prześlą obiecaną taśmę to ją wyślę pani.* List datowany z Hamburga 23 czerwca 1994 roku. Widocznie taśma nie nadeszła. Czy drugie wydanie książki Niklasa wyszło, nie wiem. Nie jestem dobrze poinformowanym członkiem polskiej organizacji, której celem jest pilnowanie takich spraw.

Rząd niemiecki ma świetnie rozgałęzioną propagandę, która ich wybieliła w ciągu mniej niż pół wieku. Nawet już są tacy co mówią, że komór gazowych w ogóle nie było! A przecież było w naszym kraju wiele obozów koncentracyjnych! Polacy budowali? Antysemita współpracujący z Niemcami? Nie. Te obozy, budowane na rozkaz morderców dla więzienia Polaków i Żydów, były zakładane w Generalnej Guberni, nie w Polsce. Niemcy piszą, że oni i naziści to dwie różne kategorie ludzi, my powinniśmy wołać, że Generalna Gubernia lat 1939-1945 to nie Polska!

Pisanie listów naprawiających sfałszowaną historię jest dobre, ale nieskuteczne wobec fali kłamstw planowanych z iście germańską dokładnością. Jest na to lekarstwo – powieści i filmy, bo na statystykę i polityczne odwołania jest już za późno. Czy po wydaniu książki i filmu „Ann Frank” ośmieliłby się ktokolwiek powiedzieć, że Holendrzy to antysemita? Nie.

Dla nas już minął czas Pana Tadeusza i Wołodyjowskiego, dla nas powinna być teraz era filmów i powieści, po angielsku, o młodych z AK broniących getta. Fakt to mało znany wśród Polaków. Kto wie, że w getcie zaczęło powstanie ponad 600 walecznych Żydów, a po upadku powstania Niemcy złapali tam, w gruzach getta, ponad 600 Polaków, w tym więcej niż sto kobiet, którzy pomagali swym żydowskim braciom? Ile razy Niemcy otaczający getto żydowskie, pisali raporty o „polskich bandytach”? Jak wynagradzali swoich żołnierzy za złapanie jakiejś polskiej kryjówki?

Po powstaniu, tych żywych jeszcze „polskich bandytów” Niemcy natychmiast rozstrzelali. A ilu

naszych zginęło podczas walki w tym getcie? I dziś świat obwołuje nas antysemitami? Jak my to korygujemy? Nijak. Bo sami nie znamy prawdy. Długo po zakończeniu wojny **Milosz** pisał, a potem nawet i deklamował to Żydom, że Polacy o sercach kamiennych (antysemita?) ustawili karuzelę tuż przy murach konającego getta. Prawda, ale o tej prawdzie nie wiedział, bo nie było komu wydawać opowieści na ten temat. Byliśmy zajęci czym innym. Bankietami? A prawda była taka, że nasi AK-owcy z tej tandetnej karuzeli, z jej najwyższego koła, komunikowali się ze zdesperowanymi powstańcami w getcie. Ta karuzela, to nie były kpiny z krwi przelewanej za murem, a pomoc z narażeniem własnego życia! Wiem coś o tym, bo byłem w AK.

Napisać książkę o tym, wyjaśnić prawdę o karuzeli! Napisałam. Po angielsku „na wynos”, żeby nas przestali obwoływać antysemitami. Do dziś trzy powieści leżą w szufladzie. Żadna z polskich organizacji, do których się zwróciłam, nie okazała zainteresowania. Amerykańscy wydawcy nie będą się narażali zwycięskiej niemieckiej propagandzie.

Przed wojną było w Warszawie 450.000 Żydów, drugie największe skupisko po Nowym Jorku. Czy świadczy to o polskim antysemityzmie, czy o dobrym klimacie dla rozwoju? Po wojnie uratowanych Żydów w Polsce było około 60.000. Żeby jeden Żyd mógł się uchować, musiało mu w tym pomagać 5-6 bohaterskich Polaków, którzy w każdej godzinie narażali swoje życie. W sumie około 350.000 Polaków poświęcało się codziennie dla ratowania bliźniego. Antysemita?

Dlaczego pozwalamy, aby mówiono: polscy policjanci pomagali w mordowaniu Żydów? Cytuję niemiecką odezwę z tamtych czasów: *Niemiecka policja w getcie jest zmuszona używać broń podczas gdy polscy policjanci zachowują się obojętnie i nic nie robią. Jeśli polska policja nie zacznie działać, ukarzymy ich wszystkimi możliwymi środkami jakie mamy do naszej dyspozycji.* Wiem coś o tym, bo mój jedyny 22-letni brat, strażak, zmuszony do podpalenia żydowskich ruin getta, uciekł do partyzantki i zginął, żeby nie podpalać żydowskich domów. Antysemita?

Wszyscy znamy szkalujące zdjęcie jak to Polacy walczyli z niemieckimi czołgami na koniku z szabelką. Objaśnienie tego niemieckiego obrazka jest pisane ręką fachowców od ogłupiania. Obrazek, niestety, jest prawdziwy, tylko ilu z nas, Polaków, wie, że ten sfilmowany moment walki pod Kutnem uwiecznił desperacką chwilę kiedy to nasz oddział został



osaczony i jedyne wyjście miał tylko między tymi czołgami? Pierwsi bohaterowie uniesionymi szablami wskazywali drogę następnym. Wielu padło. Wiem coś o tym, bo mój kuzyn to przeżył. Ile zrobiliśmy, żeby tę propagandę głupoty ukrócić? Jest przecież różnica między idiotycznym atakiem a wskazywaniem drogi wyjścia.

Dwadzieścia lat temu polecałam na wycieczkę do Izraela. Wstąpiłam do Muzeum Auschwitz. Starsza pani przy kasie zapraszała mnie na koncert, a potem spytała skąd jestem, bo mam akcent. „Z Warszawy, choć już pół wieku mieszkam w Ameryce”. „A, wyście tam nic nam nie pomagali”. Odwróciła się ode mnie ze wstrętem. „Czy ma pani pięć minut czasu?”. „Mam”.

Byłyśmy same. Zaczęłam szybko opowiadać, że jako szesnastoletnia dziewczyna mieszkalam na rogu Ciepłej i Krochmalnej, na trzecim piętrze, z oknami na getto. Okna zabite gwoździami. Za uchylenie jednego – kara śmierci dla wszystkich lokatorów. Z dozorcą włącznie. Lekcje odrabiałam siedząc przy oknie.

Jednego popołudnia, kiedy byłam sama w domu, usłyszałam bardzo ubogi śpiew i ponury akompaniament na gitarze. Grał chłopak, wysoki szkielet w moim wieku. Gitara na sznurku. Patrzył w moje okna. Pokazałam ręką na lewo, na róg gdzie zawsze przy małej bramce stał uzbrojony Niemiec. Chłopak skinął głową, że rozumie. Pognałam do kuchni, gdzie miałam pięć bajglów, luksus jak na tamte czasy. Nie będę ich rzucała na ziemię, więc zaczęłam je wiązać wszystkie po kolei, na długim sznurku zesupłanym szybko z tych, jakie moja mama zbierała. Z powrotem przy oknie znowu pokazałam na lewo. Gitarzysta kiwał głową, że można.

Ostrożnie i łatwo wyjęłam długie gwoździsko z framugi, jakie moja mama wbiła tam obcasem. Otwieranie okna zajęło mi wiele uderzeń serca. Najpierw uchyliłam na jeden palec, a potem na dwa i zaczęłam spuszczać bajgle. Chłopak pokazał, żeby prędzej, żeby rzucić na ziemię. Ponieważ sznurek się skończył na pierwszym piętrze, rzuciłam. On złapał jeden, ukląkł, a potem się położył na wznak i zaczął pedałowac nogami jakby jechał na niewidocznym rowerze. Malutki chłopiec wybiegł z bramy naprzeciwko i złapał ten bajgiel z ręki gitarzysty, ale zmarły nie puszczał.

Raz jeszcze głodne dziecko szarpnęło i z jednym bajgłem w ręce i czterema wlokącymi się po ulicy, dobiegło do swojej bramy. Wtedy usłyszałam tupanie podbitych butów na schodach. Sięgnęłam po mój szkolny płaszcz i zaczęłam wciągać prawą rękę w rękaw, ale walenie do drzwi kolbą było paraliżujące. Otworzyłam drzwi. Rozwścieczony Niemiec wrzeszczał: „Polskie psy Żydów karmią”. Zaczęłam mówić, że to tylko ja, sama, że ani mamy, ani brata, ani babci nie ma w domu, że lokatorzy nie winni, a tylko ja.

„Gdzie? Dokąd?” – warknął pokazując na mój na wpół ubrany płaszcz. „Idę z panem, żeby mnie pan zabił, bo to tylko ja, ja sama. Mama i lokatorzy nie winni”. Palnął mnie pięścią w tę schowaną w prawym rękawie rękę. Płaszcz upadł na ziemię. Niemiec zbiegł na dół. Dozorca za nim. Powoli zamykały się szparki w dwóch drzwiach sąsiadów. Po tym niewytłumaczonym incydencie, wszyscy sąsiedzi przestali się kłaniać mojej mamie, bo wychowała „niebezpieczną” dziewczynę.

„Tyś go zabiła tymi bajglami” – mama wykrzyknęła w czasie jednej z naszych kłótni na ten temat. Ja się rozplakałam. Kiedy mama wyszła z pokoju, brat szepnął: „Nie płacz. On umarł szczęśliwy z twoim bajgłem w rękę”.

Moja rozmówczyni w Izraelu miała łzy w oczach. Uściskałyśmy się. Nic tak nie działa na oszczerstwa antysemityzmu, jak prawda.

Francja, państwo większe od naszego, miała podziemie o dziesięć razy mniejsze od naszego. Jako kilkunastoletnia łączniczka AK dumna byłam, że mieliśmy nawet skocznię spadochronową w lesie! Proszę mi powiedzieć, jaki Amerykanin dzisiaj wie, że było inne podziemie, poza francuskim? Jeśli nie zrobimy dzisiaj nic na te smutne oszczerstwa, za dziesięć lat nasze dzieci czy wnuki będą się wstydziły polskiego pochodzenia. Oby do tego nigdy nie doszło, bo my to nie naród prześladowców.

Jeszcze jest czas na jakiś wspaniały film, na jakąś wielką powieść. Mamy wspaniałych pisarzy, dramaturgów, muzyków i mamy naszych milionerów, którzy na dobrą sprawę nie poskapią pomocy. Obyśmy tylko jak najszybciej obudzili się z drzemki, góralskich tańców i smacznego polskiego bankietów, kiedy nas szkalują i zasypują kłamstwami.

Lidia Zakrzewska

Miłość jest najważniejsza

rozmowa z poetą Wiesławem Wyszynskim

Marian Panek: *Drogi Wiesławie, powiedz proszę, jak to się stało, że zamieszkałeś Częstochowie i – jak kiedyś nazwałeś swój pierwszy arkusz poetycki – to miasto stało się miejscem stałego pobytu?*

Wiesław Wyszynski: Do Częstochowy przyjechałem w 1972 roku. Przyjechałem, bowiem się zakochałem i – jak kiedyś trafnie zauważył **Krzysztof Pikor** – sięgnęła mnie tutaj miłość. Urodziłem się na Polesiu Lubelskim w okolicy Włodawy w roku 1953. Tam spędziłem całe dzieciństwo: pracowite, ale zarazem szczęśliwe - w precyzyjnych pejzażach. Wychowywałem się wśród koni. Mój ojciec był koniarzem. Potem mieszkałem cztery lata na Śląsku (1968 - 1972), w Piekarach Śląskich. Później przyjechałem, co prawda na niedługo, do Częstochowy. W roku 1973 w kwietniu zostałem powołany do odbycia trzyletniej służby wojskowej w marynarce wojennej na Helu. Służyłem na ścigaczach okrętów podwodnych. W 1976 wróciłem do Częstochowy i już rok później zawarłem związek małżeński z Ewą Palacz. Jesteśmy razem, jak wyliczyłem, dwadzieścia osiem lat.

Spotkaliście się na początku lat osiemdziesiątych. Powstał wtedy, z siedzibą w Częstochowskiej Filharmonii, Klub Stowarzyszenia Środowisk Twórczych. Powspominajmy tamte czasy: stan wojenny, czasy ogólnej narodowej traumy, opozycji, rodzącej się w bólach artystycznej inicjatywy środowiska. O początkach Twojej poetyckiej drogi, o przyjaźniach, o panującej wtedy atmosferze.

Myślę, że dla naszego częstochowskiego środowiska okazało się dużym szczęściem utworzenie **Klubu Stowarzyszenia Środowisk Twórczych** w podziemiach filharmonii, w dawnej „Kawiarni Artystycznej”, gdzie zbierali się twórcy przeróżnych dziedzin sztuki: plastycy, muzycy, literaci. Było zajmująco i ciekawie. Klimat był nie do powtórzenia, był precyzyjny. Doskonale wiedzieliśmy, że byliśmy inwigilowani, a jednak nikt tym się specjalnie nie przejmował. Bo przynosiło się różnego rodzaju bibuły, wymienialiśmy te pisma czy ulotki. Dużo wtedy piliśmy – myślę, że to też na nas działało twórczo.

Jakie wtedy imprezy organizowaliście? Powiedz o najbardziej aktywnych ludziach.

Przede wszystkim wystawy plastyczne, ale również koncerty – znakomite „jamy” w głęboką noc idące. Potem, w 1985 roku, zafundowaliśmy sobie imprezę poetycką pod nazwą „Targowisko”. Byłem laureatem trzeciej jego edycji. Niewątpliwym szefem tego bałaganu był **Andrzej Młotkowski** – on wodził rej, ale również wykazywał się **Irek Kozera**, działał **Wojtek Kopcziński**, pokazywał się **Marian Panek**, bracia **Kędziorowie**. Było tak dużo ludzi, że wszystkich i tak bym nie przywołał. Atmosfera była niepowtarzalna. Powołaliśmy grupę Lit-Ars z inicjatywy **Ani Grzywińskiej** – przynależeli tam: **Krzysiek Seweryn Wroński**, **Agata Polak**, **Marek Maculewicz**, **Jacek Gierasieński**, **Waldek Gaiński**, jak i również znalazła się tam moja osoba..

Czy pamiętasz utwór, który zdobył wtedy uznanie?

Tak, nosił tytuł „Na trzy minuty przed zaśnięciem”. Byłem już po debiucie prasowym, w różnych antologiach ukazywały się moje wiersze, mimo że o to nigdy nie zabiegałem. W 1988 roku środowisko wyszło z inicjatywą wydania moich wierszy w postaci arkusza poetyckiego. Wyszedł rok później. Nosił tytuł „Miejsce stałego pobytu”, było w nim dwadzieścia utworów.

A najważniejsze?

Mówi się, że to wiersz „Na trzy minuty przed zaśnięciem”, ale były inne: poemat poświęcony matce „Z mojej ziemi”, wiersze refleksyjne, w których opisywałem lata dzieciństwa na Lubelszczyźnie. Ten arkusz, nieco skrócony, został zawarty w „Niebieskiej cyrkulacji”.

Wróćmy jeszcze do początku lat osiemdziesiątych. Interesująco działał wtedy teatr pod kierownictwem Wójtki Kopińskiego, działały różne pozostałe instytucje.

Znakomicie pamiętam okres premier, bowiem bankiety odbywały się zwykle na sali lustrzanej w Klubie Stowarzyszeń Twórczych w Filharmonii, gdzie przemieniały się w istic integracyjne spotkania, w których brali udział zaproszeni goście, aktorzy, plastycy, muzycy, literaci. Bankiety dobiegały zwykle białego rana. Były bardzo zabawne. Odbywały się również kabaretony – też całonocne imprezy. Mimo pewnego zamordyzmu, który istniał w kraju, myśmy potrafili się zebrać do kupy i cudnie bawić.



Kto wtedy występował?

Bardzo często przyjeżdżał **Kabaret „Długi”**. Naprawdę, czołówka polskiej estrady tutaj występowała. Próby przeprowadzał zespół „**Tie Break**”. Grali **bracia Pospieszalscy, Janusz „Yanina” Iwański, Ziutek Gralak, Piotrek „Jakson” Wolski**, który przygrywał na czym się dało: kociołkach, garnkach, miskach. Bywał choreograf, świętej pamięci **Kubuś Chrzanowski**. Kubuś był bardzo kolorową postacią. Nikt tak pięknie i siarczyście jak on nie przeklinał. Nikogo jednak te przekleństwa nie raziły specjalnie.

Opowiedz o swoim warsztacie poetyckim. Jak tworzysz, kiedy tworzysz, co Cię inspiruje? Według mnie, Twoje wiersze są bardzo autobiograficzne. Poezja, która mówi o Tobie, mówi również o świecie wokół Ciebie. O tym wszystkim, co jest bolesne, co piękne. Co Cię zadziwia i obliuguje do takiej poetyckiej wypowiedzi?

Zadałeś mi bardzo trudne pytanie. Trudne dlatego, że nie uważam się za poetę. Poezja jest dla mnie bardzo ważna, ale jest na peryferiach mojego życia, nie jest najważniejsza sama w sobie. Dlatego piszę niesystematycznie. Powiem inaczej - piszę zrywami. Są okresy kiedy jestem twórczy. Są też długie lata, kiedy się wyciszam i wręcz okazjonalnie sięgam po pióro. Co mnie inspiruje? Dobrze zauważyłeś, że przeżycia mnie inspirują, ale również teatr, malarstwo, historia, świat polityki. Żyję w konkretnym świecie i on mnie dotyczy, więc staram się w nim jakoś zorientować i swoje miejsce w tymże świecie podkreślam. Natomiast jakiegoś pisarskiego klucza absolutnie nie posiadam.

Szukasz swojego miejsca we współczesności, dużo czytasz, masz kontakt z wieloma artystami. Jak wpływa na Ciebie to wszystko, co staje się powoli historią?

Myślę, że dobrym przykładem jest aktualny temat, nad którym obecnie pracuję. A jest to cykl, który zaplanowałem pod roboczym tytułem „Siedem”. Wziąłem na tapetę trudne tematy – siedem grzechów głównych, siedem dzieł miłosierdzia i siedem darów ducha. Początek mam i mogę go przeczytać. Zauważysz, jaki wpływ ma na mnie malarstwo czy działania literackie innych wielkich poetów. Otóż wyobrażam sobie taką wycieczkę do Canterbury – nawiązuje tu do „Opowieści Canterburyjskich” Chaucera. W drodze na ten odpust spotykam się z Hieronimem Boschem, którego również temat siedmiu grzechów głównych sumitował. Temat ten rozwijam – pychę już mam i zazdrość już mam.

Siedem grzechów głównych

*„...znużony pracą i ubóstwem,
widząc, jak Bill i inni porastali w pierze,
napadłem przy zagaju podróznego
i śmierć mu zadałem.”*

(Edgar Lee Masters)

*

w drodze na odpust
w opactwie Canterbury
by odkupić saligę
moją przyrodzoną
dysputy wiodłem
z Wielebnym Proboszczem
i Królową Wieszek

Z tyłu podążał
był Hieronim Bosch
milcząc przez pacierze

*

Pomny co rzezzone
u Chaucera Spensera
nauki matki
wysłuchawszy wszystkie
szczerze wyznaję
pod konfesją sumienia
jak mogłem zgrzeszyć

I. SUPERBIA

W Wielki Piątek

poczułem się wielki

od rana nie jadłem kiełbasy
rosłem w oczach i zadowoleniu
wielokrotny tydzień
ćmiąc bez papierosa
kwiecistymi słowy

z godziny na godzinę
musiałem się rozpinać
z każdej minuty
pod skórą zabrakło
guzików
rzepów
synaps

tracąc wstyd
zaraz po południu
zapodziałem przytomność

w tym czasie (tak mówią)
przebito Jezusa
włócznią mojej pychy

Łączysz więc czas historyczny z czasem współczesności w jedną tkankę wiersza. Czy ta przemienność czasu będzie w dalszych utworach stałą wartością i te związki będziesz eksponował?

Jak najbardziej. Dlatego we wstępie wracam do „Opowieści Canterburyjskich”. Chcę mówić o tym, co się odbywa w człowieku. O historii ludzkości, o wiecznej walce dobra ze złem. Może jest to truizm, ale tak to jest. Piszę o tym, kim mogę być – jeśli nie będę starać się być innym, niż chcę być. Mówię o codziennej walce w człowieku, o zachodzących ciągłych przewartościowaniach i o tym, że gdybyśmy tego nie czynili, to byłibyśmy ciągle na drzewie.

Napisałś wiersz związany z ewolucją człowieka...

Napisałem tekst, w którym udowaśniałem, że małpa pochodzi ode mnie; nosił tytuł „Ewolucjonizm manualny”. Powstał, bo klóciłem się z moją mamą, która nie zgadzała się na taki rozwój człowieka jaki proponował Darwin. Moja mama uważa mit o stworzeniu świata za nienaruszalny. Mówię: mamo, ale przecież z ewolucjonizmem zgadza się większość hierarchów kościoła katolickiego, przecież to nie wyklucza istnienia Boga. To się wcale ze sobą nie klóci. I przekonywałem ją o tym w swoim wierszu.

Wiem, że spędzasz czasem bezsenne noce. Czy sięgasz wtedy po pióro, czy poprawiasz stare utwory?

Raczej realizuję nowe pomysły. A jeśli nie idzie, to biorę książkę i czytam. Wiersz musi się rodzić dosyć gładko. Może nie od razu, ale fraza musi być lekka. Jeśli idzie dość opornie, to rzucam temat i wracam do niego za dzień czy dwa. Czasami wracam też do starych utworów. Teraz zdarzyła się okazja przy czyszczeniu tomiku „Niebieska cyrkulacja”. Zmieniłem co nieco w kilku wierszach.

Jak prowadzisz wiersz, gdy masz jego pomysł, zarys, szkic: czy wyrafinowana melodyka, nagły zwrot rytmiki i myśli poetyckiej, zaskakująca pointa i sens wiersza są stałymi elementami charakteru Twojej poetyki?

Melodyka jak najbardziej. Jestem dosyć melodyjnym poetą. Wymowa wiersza, jego komunikatywność – choć zdarzyło mi się napisać kilka trudnych w odbiorze. Lubię, by była pointa i do tego trafiona. Gdyby to odnieść do twojego pola, to sam wiesz jak np. posługiwać się światłem w obrazie, gdzie masz go za dużo, a gdzie za mało – więc coś z tym trzeba zrobić. Podobnie z tekstem. Czuję po prostu więcej przez skórę i ucho niż oko. Wierzę również w podświadomość. Czasem wpada mi coś w ucho. Jest to zaledwie wers,

wokół którego następuje budowanie całego wiersza. Tak parę utworów powstało. Coś mi się bardzo spodobało i powstał wiersz.

Jakiej poezji nie lubisz, nie tolerujesz?

Nie lubię głupiej poezji, a każda inna mnie interesuje. Cenię sobie każdą formę, byle by nie była głupia (czym ubliża czytelnikowi).

Co sądzisz o młodej poezji? Czy mógłbyś dać kilka rad młodym poetom?

Rad absolutnie nie odważę się dawać. Kondycja naszej poezji jest dobra. Kilka lat nie śledziłem nowych zjawisk poetyckich w Częstochowie. Wiem, że dobra jest **Wiola Grzegorzewska**. Z poezją jest tak, że obecnie wkroczyła w kiepską koniunkturę. Stała się sztuką niezbyt potrzebną. Czyli aż tak elitarną, że niewiele ludzi interesuje się poezją? Ale ci, którzy już poezją się interesują, to oddają się jej do głębi. Czy promowanie poezji jest dobre? Wiemy, jaki jest rynek, jakie są możliwości sponsorowania przez urzędy. Ciągłe słyszymy, że na kulturę nie ma pieniędzy, na książki, na poezję...

*Są jednak w Częstochowie wydawcy - **Władysław Piekarski, Szymon Grzegorzewski, Marcin Paruzel**, a także **Miejska Biblioteka Publiczna, Akademia Jana Długosza w Częstochowie**. Jest też bardzo prężny **Mateusz Szkop**, który organizuje słamy poetyckie w pubie „Utopia” czy „Beczka”.*

Słyszałem o tych słamach w „Utopii”. Obrosły już legendą. Bardzo dobrze, że to się odbywa. Dobrze by było, by władze miasta znalazły więcej funduszy dla wydawnictw poetyckich.

Czyli więcej tomików z poezją a mniej ogni sztucznych i miernych koncertów?

Zgadzam się z tobą. Poezja łagodzi obyczaje. Szkoda pieniędzy idących z dymem. Trzeba również rozważyć zainwestowanie w młodego poetę. Może się później okazać, że wyrośnie u nas wielki talent.

*Czy myślisz o **Halinie Poświatowskiej**? Czy czytujesz jej poezję?*

Tak, myślę o niej, ale też o innych. Uznaję jej wielkość. Nie należę do tych, którzy nie lubią „babskiej poezji”. Czytuję również **Wisławę Szymborską, Ewę Lipską**, naszą rodaczkę – **Marjańską** czy **Świrszczyńską**. Czytuję również młode poetki. Jednak, nie ujmując nic poezji kobiecej, bliższa jest mi poezja pisana przez mężczyzn.



Według mnie istnieje moda na poezję wśród młodych ludzi. Czy jest to wynik panoszącego się w Polsce brutalnego kapitalizmu, bezrobocia i ogólnej beznadziei? Czy wtedy młody człowiek zaczyna odwoływać się do wnętrza, do własnej wrażliwości i podświadomości? Do wartości wyniesionych z domu, ze szkoły, z grupy rówieśników?

Nie wiem, czy istnieje teraz moda na poezję. Jeżeli tak jest, to mnie bardzo cieszy. Moje świadome życie – literackie, czyli okres nowej fali, okres mojej młodości – to też była moda na poezję.

Wtedy też był przełom: Solidarność, stan wojenny, represje, potem radość z odzyskanej wolności – z odzyskanego śmietnika, który i tak szybko zagarnęli postkomuniści. Twórcy znaleźli się na płynącym lodzie, a zwłaszcza ci młodzi, którzy zostali tylko z wielkimi wartościami...

Czyli, jak mówi polskie porzekadło autorstwa **Jonasza Kofty**: „z młodych gniewnych stali się później starzy wkurwieni”. Obserwuję, co się dzieje w „Utopii” i gdzie indziej – to chyba potwierdza twoją tezę. Więc jeśli obserwujemy taki wzmożony ruch na niwie poetyckiej, to konieczne jest powiedzenie panom włodarzom naszego miasta, żeby wysupłali parę groszy na takie działania jak słam poetycki.

*Wróćmy do Twoich przyjaźni artystycznych. Do ludzi takich, jak **Boniek Dymarczyk, Włodek Grabowski, bracia Kędziorowie, Mikołaj Olszewski...***

To była naprawdę przyjaźń z Boniem. Przed jego pobiciem, całą noc przegadaliśmy u mnie przy piwie. Wtedy mieliśmy podobny ogląd świata, podobną estetykę... Dotyczy to również Włodka Grabowskiego. Stanowiliśmy znakomite trio. Podobnie „organizuję” Maćka Kędziore. Z Maćkiem jestem blisko, czuję jego ciepło, czuję się mu potrzebny. Cieszę się, że tak jest, bo on jest mi też bardzo potrzebny. Szkoda, że w „Niebieskiej cyrkulacji” nie znalazło się zdjęcie, które zrobił Maciek Kędziora, przedstawiające Bonia, Włodka i mnie. Mikołaj Olszewski był wspaniałym wydawcą. Pomógł paru chłopakom i dziewczynom w publikacji ich wierszy. Gdyby żył – mielibyśmy interesującą osobowość literacką.

Pewien czas byłeś dziennikarzem i pisałeś do „24 Godzin”, do „Alej 3”. Pisziesz też prozę. Czy zamierzasz ją wkrótce opublikować?

Bardzo dobrze sobie wspominam współpracę z Dziennikiem Częstochowskim „24 Godziny”, w latach 1993 – 1995. Mogłem się tam wypisać do woli. W zasadzie pisałem o kulturze. Były to wywiady, recenzje z wydarzeń kulturalnych. Zachowało się parę dobrych wywiadów z **Wojtkiem Prażmowskim, Januszem „Yaniną” Iwańskim**. Polemizowałem z **Arturem Nowakowskim**, z prof. **Czajkowskim**. Pisałem również do „Alej 3”, ale zmieściłem tam niewiele materiałów, m. in. artykuł o **Stanisławie Pospieszalskim**. Interesuje mnie felieton. Mam

propozycję od prowadzących „42-200” by tam coś zmieścić. Mierzę się obecnie z prozą – mam rozpoczętą powieść. Jeśli wyjdę z tej choroby, to mam zamiar ją skończyć jak najprędzej. Tylko muszę mieć trochę luksusu w gębie, czyli – bym nie musiał zerkać ciągle na morfinę. Proza mnie bardzo interesuje. Nigdy mnie tak nie interesowała, jak teraz, zwłaszcza eseistyka i felietonistyka.

Jakie tematy będziesz podejmował?

Jestem chory, więc wymyśliłem cykl felietonów pod tytułem „Cierpienie Wertera w średnim wieku” i z tej perspektywy określałbym i komentował to wszystko, co mnie boli w tym kraju, w tej społeczności, to co mnie wkurwia w sferze kultury, polityki i na innej niwie.

Co na przykład?

Najbardziej wkurwia mnie głupota, nieżyczliwość, chamstwo i skurwysyństwo. Ale w tym mieści się wszystko: od indolencji władz po grzech zaniechania i brak kompetencji wielu siedzących na tzw. stołku. W powieści chcę zająć się bardzo współczesnym obyczajem zestrojonym z pierwiastkami autobiograficznymi. Postacie są wymyślone – poza moją osobą, ale grzechy wszystkich są prawdziwe. Konwencja jest dość klasyczna. Będzie to zwykła powieść, o tyle jednak nietypowa, że będą w niej wtręty poetyckie. Trochę wierszy, trochę dziennika. Natomiast budowanie postaci polegać będzie na pewnym zabiegu, którego tu nie zdradzę. Narratorem będzie mój Anioł Stróż. Ten anioł wypowiada posłuszeństwo...

*Anioły są ostatnio w modzie u częstochowskich artystów. Są anioły **Jacka Łydzby, Grażyny Lubaszki**, jest też spektakl w reżyserii **Wojciecha Kopcińskiego**, zrealizowany w kórnickim pałacu (pod Poznaniem) zatytułowany „Anioł w szatni” wg tekstu **pani Obertyńskiej**. Czy Twój anioł też będzie pracował w szatni?*

Anioł wymówił mi posłuszeństwo, kiedy ja już pracowałem w szatni.

Jak się pracuje w szatni?

Kiepsko. Czasami wstydzilem się za garderobę, która musiała okrywać tak chamskie powłoki cielesne – ciała i umysły niegodne noszenia tej garderoby.

Powiedz mi o sobie jako o graczku, o człowieku, który podejmuje różne życiowe role.

Gracz jest w każdym. We mnie jest raczej domorosły graczyk, powiedzmy: nie na miarę **Dudy Gracza**. Hazard tak. Hazard zawsze lubiłem. Kiedy byłem młodszy, chciałem rozegrać inaczej życie. W tej chwili w zasadzie nie gram o nic. Moje marzenia teraz to grzyby, ryby, sen i przede wszystkim zdrowie – moje potrzeby nie są wybujałe.

Przeszedłeś różne dolegliwości. Próbujesz swój sposób na życie. Zapewne poszukiwałeś jakiegoś sensu, ponadczasowości bytu.

Jak najbardziej. Z życiem tak bardzo „barować się” – nie barowałem. Harmonii poszukiwałem i poszukuję w dalszym ciągu. Ale jak widać na załączonym obrazku – inżynierem byłem kiepskim. Niewiele ze mnie pozostało cieleśnie, straciłem na wadze. Jakiś wielkich osiągnięć nie posiadam, ale myślę, że mam w sobie pewien kapitał, który mną w chorobie nie miota, nie targa. Jestem zupełnie spokojny. Jestem nawet szczęśliwy w tej trudnej sytuacji.

Co czuleś, gdy dowiedziałeś się o chorobie?

Trudne to było. Pierwszy moment, kiedy się dowiedziałem jaka jest diagnoza, kiedy powiedziano mi, że mam raka – był to szok. Nagle traci się grunt pod nogami. Człowiek nie wie, co ze sobą zrobić, ale to nie trwa długo. Trzeba robić jakiś remanent. W takim momencie wychodzi, że tak niewiele zrobiliśmy i chciałoby się jeszcze wiele zrobić. Byłem w szczęśliwej sytuacji, bo kochałem i czułem, że jestem kochany. Miłość pozwoliła mi optymistycznie patrzeć w przyszłość (może nawet niezbyt daleką). Miłość wpływała kojąco. Bez miłości, którą dawałem i odbierałem, nie wyobrażam sobie walki z chorobą. Dlatego uważam, że miłość jest najważniejsza. Miłość do kobiety, do przyjaciela, kolegów, świata i do wszystkiego.

Czy groźba śmierci wzmocniła Cię?

Absolutnie nie traktuję śmierci jako zła. Na szczęście śmierć jest koniecznością. Jest przemijaniem i podlegamy temu. Choroba uzmysłowiła mi w pewnym sensie moją ułomność. Uzmysłowiła mi, ile czasu strwońiłem na duperele. Myślę, że po rekapitulacji swojego życia, widzę je zupełnie inaczej. Są inne cele. Hierarchie się zmieniły, pryncypia się zmieniły. Choroba o dziwo nie wprowadziła rozdrażnienia w moje życie. Staram się postrzegać świat w ten sposób, że ja jestem jego małym pyłkiem i do końca chcę współgrać w Kosmosie. Kocham ludzi, kocham świat i tak zostanie aż do końca. Kocham również Pana Boga. W chorobie odnalazłem miłość do Boga, do Sacrum. Myślę, że to dotyczy każdego ciężko chorego.

Czy czujesz już inne podejście do swojego warsztatu literackiego? Czy reprezentujesz już inną wrażliwość?

Może zachodzić taka obawa, lecz nie chciałbym się stać poetą „bogoojczyźnianym”. Mam teraz w robocie temat „Siedem”. Dotyczy relacji ludzko – boskich. Przed chorobą bym się takich tematów na pewno nie miał.

Kończysz „Niebieską cyrkulację” wierszem, który po części jest relacją, a po części diagnozą o sobie.

Przywołuję w nim myślenie o przemijaniu. Myślę, że przyszedł na mnie już czas, że moje koło się zamyka. Czas odchodzić. Ale tak naprawdę chciałem zakpić z komisji śledczych – stąd ten tytuł „Do wysokiej komisji śledczej”. Generalnie chciałem zakończyć „Niebieską cyrkulacją” jakimś zejściem. Moja pamięć przesypuje się jak ostatni piasek klepsydry, wygasa mój immunitet morfologiczny. Stare gwiazdy gasną, rodzą się nowe (nie mówię tu, że jestem gwiazdą).

Czy przyjąłbyś zamówienie na napisanie piosenki? Czy ktoś już śpiewa Twoje teksty?

Tak – **Włodek Grabowski**, **Zbyszek Ziętarski**. Przed laty śpiewała moje wiersze **Zosia Kheler**, aktorka częstochowskiego teatru. Śpiewał również **Boniek Dymarczyk** moje teksty w kabarecie radiowym „Amok”.

Czym dla Ciebie jest natura, plener? Wiem, że łowisz ryby, lubisz wędrować po lasach.

Natura jest ważna, bo jestem jej częścią. Jeśli jadę na ryby – jadę po to, by łowić wrażenie estetyczne. Ryby są przy okazji. Każda wycieczka jest wycieczką po wrażenia, po przeżycia, kolory, dźwięki. To jest najpiękniejsza muzyka, najpiękniejsze malarstwo i poezja. Trzeba dać swojej duszy ten luksus obcowania z naturą, oglądania świata. A przy okazji jak prawdziwek wpadnie czy rybka - to też fajnie.

Trzy lata temu jednocześnie z Ewą straciliście pracę. W desperacji wyjechałeś do lasu nad Wartę. Co wtedy się stało?

Szukałem wyjścia (jeśli nie to, to co – śmierć głodowa?). Byłem bez pieniędzy, miałem tylko kilogram soli, żyłem złowionymi rybami i gotowałem zupkę tatarakową i tak jakoś przeżyłem dwa tygodnie. Aż Bozia wysłała wolę życia. zachciało mi się znowu żyć. Bo tak to byłem już zdecydowany zrobić rzecz haniebną i popełnić samobójstwo. Mieszkałem w szałasie. Nikt mnie nie odwiedzał. Później dowiedziałem się, że miejscowi nazywali mnie „buszmenem” lub „duszmenem”. Po dwóch tygodniach przyjechał **Janusz Michałowski** z żoną i spytał gdzie tu mieszka turysta – wędkarz. Usłyszał: tam, w szałasie nad rzeką. Miałem ciekawą rzeźbę - totem z osikowego klocka, którą nazwałem „Wenus 10 kilo” i umieściłem przed szałasem. Ba, miałem nawet wtedy wycieczkę szkolną. Była tam u mnie mała galeria: różnego rodzaju znaleziska działające na wyobraźnię. Działo się to w pobliżu Krzeczowa w przełomie Warty, niedaleko od źródła pitnej wody. Czekałem tam na cud i cud się zdarzył – nabrałem chęci do życia.

rozmawiał Marian Panek

ALEJE NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY I ULICA ŚW. BARBARY

UWAGI O REWALORYZACJI

Piękno zabytkowego założenia polega w przypadku Alei Najświętszej Maryi Panny właśnie na tym, że jest to prosty trakt prowadzący ku Jasnej Górze. Jasnogórska wieża wskazuje wędrowcowi kierunek drogi, rośnie w perspektywie Alei w miarę zbliżania się, w obramowaniu drzew.

Projektowana rewitalizacja III Alei nie może tego układu w najmniejszym nawet stopniu zacięrać. A wprowadzanie tu placyków, z wycinką części drzew, dawałoby efekt zakłócenia i zmiany jasnego, czytelnego układu. Podobnie będą działać planowane obecnie zakola. Dla ograniczenia szybkości samochodów powinno wystarczyć odpowiednie oznakowanie i stały nadzór – tym bardziej, że przecież ruch kołowy ma być stąd w przyszłości wyeliminowany. Z tym wiąże się również sprawa łącznika III Alei z ulicą Raclawicką, między Liceum Sienkiewicza a murem Kurii Metropolitalnej, z miejscami do parkowania. Nie potrzeba tutaj nowej ulicy, powinien być ciąg pieszo-jezdny, z zachowaniem wszystkich drzew.

Uważam zresztą, że gdy chodzi o zewnętrzny kształt III Alei – potrzeba tylko nowej nawierzchni z płyt kamiennych i kamiennej kostki. Rodzaj naturalnego kamienia winien być odpowiednio dobrany pod względem wytrzymałości i wyglądu. Nie powinien to być wszędzie szary granit, raczej kamień o bardziej jednorodnej strukturze. Fontanny, źródła i inne ozdobne elementy małej architektury – a także rzeźby – mogłyby być w zakątkach przed Liceum Sienkiewicza i przy Cepellii – niepotrzebne są w ciągu Alei. Zaoszczędzone pieniądze można by przeznaczyć na ratowanie innych zabytkowych miejsc.

Jednak jakiegokolwiek będą tu realizacje ozdobników – mniej czy bardziej udane nie uważam, by one same wpłynęły zdecydowanie niekorzystnie na charakter miejsca. Oczywiście, powinny to być ozdoby na odpowiednim poziomie. Są miejsca, w których każda ingerencja, wprowadzanie obcych elementów niszczy niepowtarzalny klimat. Myślę, że III Aleja do takich miejsc nie należy.

W II Alei Najświętszej Maryi Panny, tuż obok wiaduktu kolejowego, wznosi się dawny zajazd (1879, przebudowany w 1907). Jego dawny wygląd możemy poznać z pocztówek, wysłanych w 1905 i 1917 roku (kolekcja Zbigniewa S. Biernackiego, „Częstochowa na dawnej pocztówce”, Częstochowa 2000). Budynek do dziś zachował swój charakter. Powinno się dbać o jego stan techniczny i otoczenie. Ważne jest także zachowanie detalu. W Częstochowie niewiele kamienic może się poszczycić dawnymi witrynami sklepowymi. Zamieniono je na nowe, aluminiowe lub plastikowe, niepasujące kompletnie do zabytkowych elewacji. A tutaj właśnie jest taka witryna – w znanym sklepie „Optyk”, kontynuującym tradycje firmy Soczek, założonej w 1905 r.

W niższym budynekczku, od strony wschodniej, mieszczą się też sklepiki; od frontu – „Union.” Do obiektu przylega popularny w Częstochowie ryneček na Wałach Dwernickiego. Ostatnio pojawiły się pomysły uporządkowania ryneczku. Zamierzono m. in. wybudowanie czegoś w rodzaju bramy od strony Alei. Projektowana budowla, pokazana w Informatorze Urzędu Miasta, zakłóciłaby widok na piękną bryłę zajazdu. Bardzo się dziwię, że projekt nie został od razu odrzucony. Co prawda, jak wiem z rozmów, spotyka się z krytyką i sprzeciwem ze strony historyków, architektów, artystów – ale wygląda na to, że ma być realizowany. Póki jeszcze tak ważny fragment miasta nie został definitywnie popsuty – trzeba podjąć zdecydowane działania. A wyjście z sytuacji jest. Jeśli już koniecznie coś takiego budować – to w żadnym razie nie przy samej Alei, ale dopiero w głębi, za zajazdem. Długi mniejszy budynekczek tworzy harmonijną całość z głównym obiektem, nie można go wstydliwie zasłaniać. Powtarzam: projektowana brama - w pokazanej w Informatorze formie i lokalizacji - zniszczyłaby piękny widok na dawny zajazd od strony Alei. Przy zajeździe powinno być przejście brukowane kocimi łbami (są pod asfaltem w części ryneczku). Wtedy byłoby to właściwe wyeksponowanie jednego z cenniejszych w Alei zabytków.

Na zachowanie detalu trzeba także koniecznie zwrócić uwagę przy rozpoczętym przez miasto remoncie zabytkowej kamienicy przy Alei N.M.P 24. Chodzi tu na przykład o ozdobne drzwi drewniane, starą drewnianą witrynę sklepiku parasolniczego od strony ul. Kościuszki, dziewięćdziesięcioletnią tablicę informującą o patronie ulicy, składaną metalową żaluzję, jedną z nielicznych już w naszym mieście czy o balustrady schodów.

Ta sprawa jest też ważna w przypadku tzw. „popówki” – kamienicy Muzeum Częstochowskiego. Powinny tam być zachowane m. in. balustrady balkonowe, kuta brama przechowywana obecnie przez kawiarnię Bliklego - i stare okazałe drzwi zewnętrzne, które oby nie podzieliły losu pięknych drzwi z kościółka Imienia Maryi, zamienionych niedawno na nowe, pasujące raczej do nowobogackiej willi.

Prasa przyniosła bardzo interesujące wypowiedzi Wojciecha Szygendowskiego wojewódzkiego konserwatora z Łodzi oraz architekta Marka Janiaka. („Gazeta Wyborcza”, 15-16 października 2005). Te uwagi, wygłoszone w związku z rewitalizacją starych fabryk, powinny znaleźć zastosowanie w odniesieniu i do innych obiektów, także w Częstochowie: „Architekci muszą wsłuchać się w duszę obiektu. Dobrym przykładem jest Muzeum Artystów, gdzie nie zrobiono właściwie nic poza wyczyszczeniem ścian oraz odsłonięciem drewnianych podłóg.” „Ważne jest zachowanie bryły budynku, ale także wnętrza, np. żeliwnych słupów. Niedopuszczalne są plastikowe okna!”

*

Są miejsca, w których wprowadzanie nowych, obcych elementów zniszczyłoby wyjątkowy, niepowtarzalny charakter, klimat. Takim miejscem jest Rynek Wieluński, uliczki podjasnogórskie, w dużym stopniu także ulica św. Barbary. Planowana rewitalizacja powinna być przeprowadzana



z wielkim wyczuciem. Przecież to jest skarb Częstochowy: Jasna Góra - i ów klimat miasteczka w dzielnicy podjasnogórskiej. I jest to klimat autentyczny, nie sztucznie odtwarzany. Wynika z historycznego układu, starych domów. Może być wykorzystany jako wielki atut miasta, także pod względem atrakcyjności turystycznej.

Rewolucyjne pomysły można wprowadzać z powodzeniem w innych częściach miasta – po co akurat niszczyć to, co mamy najcenniejszego, robić z pięknego miejsca tchnącego autentycznością – pretensjonalny salon.

Przede wszystkim powinno się pomyśleć o zachowaniu starej zabudowy, wykuszającej się w katastrofalnym tempie. Są tu bardzo malownicze kamieniczki, podwórka, oficyny – w coraz bardziej opłakanym stanie. Jeśli nie podejmie się działań – zostaną wyburzone albo same się zawalą. A one decydują o historycznym charakterze i specyficznym klimacie miejsca.

Powinno się zachować historyczny układ ulicy św. Barbary – z jezdnią pośrodku. Śmieszne, że gdy chodziło o Aleje Najświętszej Maryi Panny – były projekty akurat odwrotne: przeniesienia ruchu kołowego na środek. A więc – byle tylko coś zmienić. Nawiązanie do Alei N.M.P. nie ma tu nic do rzeczy. Nie ma też sensu zbliżać aut pod okna domów. Myślę zresztą, że w ogóle ruch przelotowy powinien być z ulicy św. Barbary wyeliminowany.

Wielkie znaczenie ma również nawierzchnia. Powinno się zbadać, czy pod asfaltem nie kryje się stary bruk – kocie łby, które mogłyby być wykorzystane w odpowiednich miejscach, jak to zrobiono w dobrym projekcie dotyczącym ulicy Berka Joselewicza. Nie można tworzyć nawierzchni działających obco. Ulica św. Barbary, przy całym rozmachu i elegancji założenia, ma pewien swojski, pełen uroku charakter. Nie wolno go niszczyć agresywną, obcą nawierzchnią granitową czy betonową. Trzeba wszystko robić z maksymalną wrażliwością.

Już parę lat temu sporo zniszczono, wykładając fragmenty betonową kostką, okładając też betonem pnie potężnych drzew. Ale zostały jeszcze fragmenty autentyczne. Trzeba je zachować i ewentualnie zrekonstruować na większym odcinku. Chodzi o przykład o części brukowanych rynsztoków

przed domami nr 4, 6, 8. Są ozdobą i niezbędnym składnikiem starej ulicy, podbudową dla właściwego wyrazu starych domów. Nikomu nie przeszkadzają – a są już jednymi z ostatnich. Nie tak dawno dobrze zachowane rynsztoki zniszczono przy okazji wykładania betonową kostką ciągów pieszych na ulicy Wieluńskiej i Trzeciego Maja. Warto zrekonstruować te rynsztoki i w ogóle zachowywać kocie łby w zabytkowych częściach miasta, jak się to robi np. w Niemczech. Są fragmenty, którym warto przywrócić historyczny wygląd. Nie utrudni to w niczym współczesnego użytkownika, zwiększy atrakcyjność miejsca. Tak jest przed stu pięćdziesięcioletnim chyba domem nr 13. Do niedawna był tu też brukowany rynsztok, między chodnikiem a aleją drzew, przykryty żeliwnymi płytami. Woda deszczowa spływała spokojnie w stronę ulicy św. Kazimierza. Nie wiedzieć po co kilkanaście lat temu rynsztok zasypano, podniesiono przy tym teren, zacierając wygląd ulicy i budynku. W dodatku spływająca woda powoduje teraz zawilgocenie zabytkowego budynku. Powinno się owo nadsypanie usunąć i zrekonstruować stary bruk.

Na ulicy św. Barbary, oprócz zwykłych kocich łbów, są widoczne fragmenty wyłożone nieregularnymi kamieniami w kolorze żółtawym. Bardzo to ładna nawierzchnia, powinna być też zrekonstruowana. W ogóle dobrze by było stosować miejscami kamienne płyty obok nieregularnego bruku – a nie tylko kostkę. Natomiast przynajmniej część alejek w parku sąsiadującym z Seminarium warto utwardzić białym tłuczniem wapiennym. Części takiej nawierzchni widać jeszcze gdzieś pod asfaltem w Parku Staszica i Trzeciego Maja. Tak była też kiedyś utwardzona Aleja Sienkiewicza. Zaś resztki wapiennego jakby bruku są widoczne na trawnikach przed Hałami z kaplicą św. Józefa. Wszak Jasna Góra to białe wapienne skały, niegdyś świecące na powierzchni wzgórza. Warto by do tego nawiązać w najbliższym otoczeniu klasztoru. Można by ten tradycyjny charakterystyczny materiał wykorzystać, podkreślić jego piękno. (O jego docenieniu obecnie w Częstochowie zabiega Jarosław Kweclich). A nie wyklądać wszystkiego betonową czy granitową kostką, o wątpliwych walorach estetycznych

Władysław Ratusiński





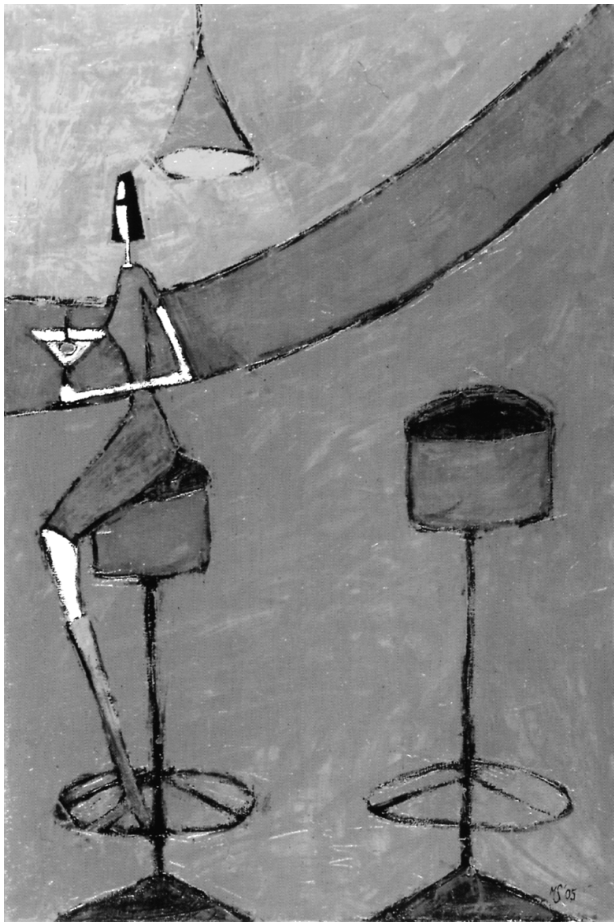
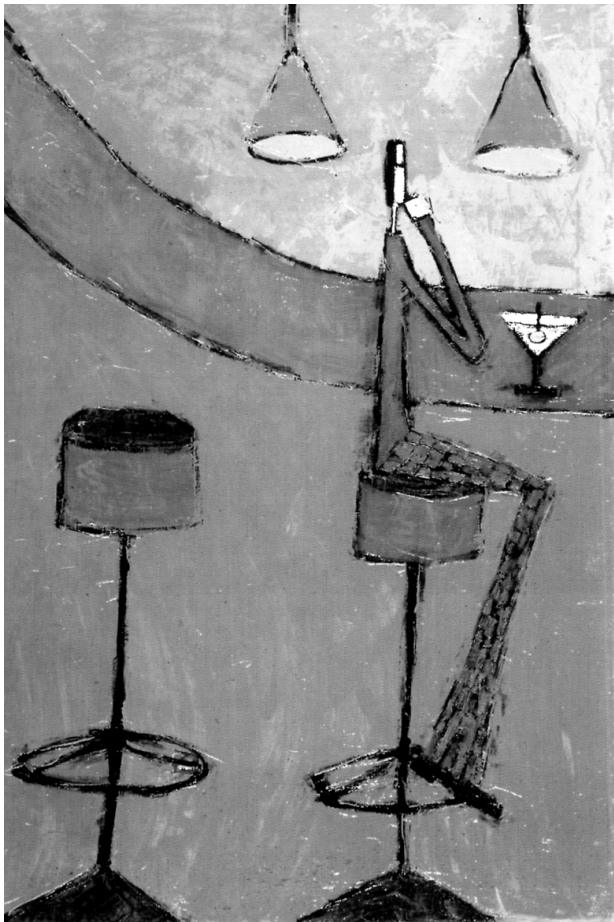
Less is more

Nowe obrazy **Małgorzaty Stępnia** tworzą kolejny etap linii rozwojowej jej malarstwa. Są na pewno wyrazem determinacji ich autorki, by realizować własną kreatywną aktywność. Obecny etap przydał nieznacznie cielesności przedstawianym figurom postaci, na tyle, że zauważalne są cechy płci. Więcej też jest płócien zimniejszych temperaturowo. Ich ilość jednak pozostaje w stanie równowagi z płótnami, bardziej typowymi wcześniej, zdominowanymi przez czerwień. Poszerzenie gamy zaowocowało dominantą błękitną, a ta ma mocną reprezentację w historii sztuki.

Wspólne wszystkim pracom jest skrajne uproszczenie formy i odprężający nastrój rodzajowych scen. Zdecydowana kolorystyka i jednoznaczne, arbitralne podziały kompozycyjne przywodzą na myśl rygorystyczny awangard. W kontakcie z tym malarstwem silnie odczuwamy obecność upraszczającego wektora sztuki (wszelkiej), co decyduje o jej symbolicznych cechach i wielowymiarowości istnienia.



Szeregowanie się obrazów na dwie grupy ze względu na tonacje, przywodzi na myśl prawidłowość dwojakiej natury elementów zjawisk (światło, cień) czy też dualność świata jako takiego (zimno, ciepło).



Dwa razy martini

Podobnie tendencja dążenia do wypadkowej balansu wyraźna jest w stosowaniu form kanciastych, grubych konturów (echo klauzjonizmu) i ich przeciwwagi w postaci obłych form organicznych (np. liści).

W dalszym ciągu niezmienna jest sfera ikonografii nowopowstających obrazów, opisującej cywilizacyjne fetysze, rekreację i wypoczynek (samochody, kafeteria). Intryga polega tu na nawiązywaniu do czasu minionego marzycielskiego świtu społeczeństwa konsumpcji. Był to czas prostych umysłów prostodusznie ufnych w idyllę szczęśliwej ery. Malarz wykorzystuje stare (z lat 50, 60, i 70) zdjęcia i filmy, by znaleźć w nich aurę świata sprzed postludzkiego przełomu. Metaforą tej przemiany może być sprowadzenie oczu postaci do wyrazistej kreski czarnej farby, kojarzącej się z fotografiami i anonimowością ludzi będących obiektami zainteresowania aparatu prewencji.

Przy oglądaniu obrazów towarzyszy nam uczucie bliżej nieokreślonego napięcia. Wzmacnia je dodatkowo zatrzymanie ich w czasie, kiedy mit cywilizacji hedonizmu był możliwy. Pewnie dlatego ma miejsce owa wyrażana zainteresowaniem mediami minionych dekad nostalgia. Choć pikanterii całości dodaje młody wiek autorki. Pewnie warto i trzeba sięgać wstecz, gdyż dzisiaj trudniej o jednoznaczną i prostoliniową ufność. Świat bowiem stał się miejscem globalnych katastrof, o wszelkim możliwym charakterze. A co widać w masowej quasi-kulturze popularnej. Wszystko to zostało wnikliwie zanalizowane przez najwybitniejszych myślicieli XX-tego wieku.

Irytuje i jednocześnie pociąga, w warstwie formalno-morfologicznej, poetycka plastyczna redukcja, będąca odwrotnością obrazów wysoce zorkiestrowanych pikturalnie. Budzi ona asocjacje z podobnego typu kształtowaniem figury w rzeźbie Giacomettiego. Także perspektywiczny skrót obrazów Małgorzaty Stępiak jest rodzaju umownego. Stosowany był na przykład w Egipcie...

Trzeba zaznaczyć, że w myślach o życiu i malarstwie artystki nie ma żadnej ironii, raczej posunięta do granicy niefrasobliwości akceptacja świata i granie z malarstwem branym na poważnie. Wie ona z doświadczenia, że w malarstwie serio realistycznym można dojść niechcący poprzez nieuwagę do granicy śmieszności.

Bo czyż nie lepiej nasycić mitologizujący świat właściwy każdej kreacji lekką nutą tęsknoty za złotymi latami powszechnej wspólnoty i odczuwalnej empatii, kiedy wiatr przemian nie zapowiadał tak brutalnej bezwzględności praktycyzmu maszyny bytu.

A poza tym trudno myśleć o wyjaśnieniu obrazów...

Piotr Głowacki

V. FESTIWAL WIOLINISTYCZNY IM. BRONISŁAWA HUBERMANA

Andrzej Grądzman

Zapiski na marginesie programu

Pamięć o wspaniałym częstochowianinie utrwalona została już po raz piąty festiwalem Jego imienia. Konstrukтором bogatego programu, składającego się z siedmiu koncertów i recitali, był **Jerzy Swoboda** – dotychczasowy dyrektor artystyczny Częstochowskiej Filharmonii. Całości organizacyjnej dopełnił dyr. **Leszek F. Hadrian** ze swymi współpracownikami.

*

Jerzy Swoboda, wraz z Częstochowską Orkiestrą, poprowadził osobiście koncert inauguracyjny, będący jednocześnie - po odejściu z zajmowanego stanowiska - jego pożegnalnym koncertem z miejscową publicznością. Altowioliście **Ryszard Groblewski** zaprezentował się znakomicie jako solista w *Koncertie na altówkę Beli Bartoka*. Swą artystyczną wspaniałością błysnęła następnie młodzieńka, osiemnastoletnia skrzypaczka **Maria Machowska**. Wystąpiła z *Koncertem skrzypcowym D-dur P. Czajkowskiego* – dziełem tak trudnym, że wielu uznanych wirtuozów łamało sobie na nim smyczki, czy zgoła unikało niczym ognia. Maria Machowska zachwyciła słuchaczy doskonałym i dojrzałym wykonaniem partii solowej. Odebrała za to całkowicie zasłużoną owację od publiczności.

*

Na recital mistrzowski zawitała **Kaja Danczowska** ze swą uzdolnioną córką Justyną, towarzyszącą jej przy fortepianie. Nasza czołowa skrzypaczka często i chętnie odwiedza od wielu lat Częstochowę z powodu różnych muzycznych okazji. Obecnie uraczyła nas *Habanerą M. Ravela* i dwoma sonatami skrzypcowymi: **C. Francka** i **S. Prokofiewa**. Błysnęła też na deser świetnymi miniaturami **F. Kreislera**.

*



Tradycyjnie już gościnnie dla muzyki świątynia kościoła ewangelicko-augsburskiego i tym razem przyjęła do siebie koncerty festiwalowe. Akustyka wnętrza odznacza się tu szczególnymi właściwościami: potrafi oczarować. Lecz przy nieostrożnym jej potraktowaniu lub zbyt powierzchownej znajomości – staje się nieprzyjemna. Doświadczyli dotkliwie tego Kameraliści Toruńscy wraz ze swym opiekunem artystycznym **Jerzym Salwarowskim**. Nadmiernie masywnym forsowaniem dźwięku doprowadzili w czasie koncertu do muzycznego rwetesu, szczególnie dokuczliwego dla partii solowych skrzypaczki **Anny Marii Stańkiewicz** (J. S. Bach – *Koncert skrzypcowy a – moll, BWV 1041*) oraz flecistki **Anny Gruszczyńskiej** (J. S. Bach – *II Suita h-moll, BWV 1067*). Jednak niejednokrotnie już zespoły o składzie w pełni symfonicznym radziły sobie w tejże świątyni doskonale – ku satysfakcji własnej i z szacunku dla uszu słuchaczy.

*

W tym samym kościele wystąpiła następnego wieczoru światowej sławy orkiestra z Czech – **Virtuosi di Praga**, z dyrygentem i koncertmistrzem w tej samej osobie – **Oldřichem Vlčkem**. Zespół nie tylko nie potykał się na właściwościach akustycznych wnętrza, lecz w pełni

je wykorzystał. Skutkiem tego, z prawdziwą przyjemnością można było wysłuchać mistrzowskiej prezentacji dzieł **W. A. Mozarta**, **S. Barbera**, **A. Dwořaka** i **J. Haydna**. Muzycy, nakłaniani gorącymi brawami przez publiczność, popisali się jeszcze kilkoma bisami, a wśród nich – ciekawym opracowaniem *Arii na strunie* g **J. S. Bacha** oraz koncertową wersją muzyki zespołu **The Beatles**.

*

Z recitalem mistrzowskim wystąpił skrzypek **Janusz Wawrowski**. Zaprezentował rzecz niezwykłą – zestaw wszystkich 24 Kapryśów **Niccolo Paganiniego**, op. 1. Był to swoistego rodzaju wyczyn i w takim charakterze pozwałam sobie spotkanie to odnotować. Trudno bowiem w tym olbrzymim cyklu o skomplikowanej często strukturze (właściwej Paganiniemu), ustrzec się małych potknięć, gdy w dodatku trzeba zmieścić się w przeznaczonym na to wymiarze czasu. Prezentację tę przyjęto więc jako ciekawostkę tym bardziej, że artysta zaprezentował swój bardzo piękny, o nośnej barwie instrument – skrzypce. Szkoda jedynie, że w programie, oprócz fundatora tych cennych skrzypiec, nie podano też ich wieku, pochodzenia, czy nazwiska lutnika.



*

Nie zdołałem niestety dotrzeć na koncert kameralny w wykonaniu niemieckiego zespołu **La Gamba** z Freiburga. Żałuje, bo prezentacja przez nich skrzypiec barokowych i różnych odmian wioli da gamba, z bogatym zestawem wykonawczym twórców z epoki baroku i prabaroku, z całą pewnością dostarczyło słuchaczom wiele satysfakcji.

*

Koncert finałowy festiwalu wypełniła Orkiestra **Sinfonietta Cracovia**, której kierownikiem artystycznym i koncertmistrzem jest skrzypek **Robert Kabara**. Solistą wraz z nimi był światowej sławy skrzypek rosyjski – **Grigorij Żylin**. Uraczyli słuchaczy utworami **H. Purcella**, **J. S. Bacha** i **E. Denisowa** – Kaprysem 24 Niccolo Paganiniego, gdzie Grigorij Żylin popisał się mistrzowską interpretacją tego utworu. Koncert zakończyli *Wariacjami* **B. Brittena** – muzyką współczesną, lecz jakże miłą dla ucha odbiorcy.

*

Festiwalowi towarzyszyli wierni od lat Częstochowie i nam prezenrzy: **Eugeniusz Ratajczyk**, **Zbigniew Pawlicki**, **Stefan Munch** oraz rodzima **Beata Młynarczyk**.

*

Foyer Filharmonii wypełniła wystawa instrumentów lutniczych **Tomasza Knota** oraz wystawa zdjęć **Zbigniewa Burdy**: *Festiwal Hubermanowski w obiektywie*

*

Zespół Szkół Muzycznych zorganizował warsztaty skrzypcowe, które poprowadził **Janusz Wawrowski**.

*

Z bogato wydane programu festiwalowego oraz z plansz dekorujących estradę koncertową dowiedzieć się można było, że patronat medialny nad festiwalem objęli: Program 2 Polskiego Radia, Telewizja Regionalna oraz częstochowska redakcja „Gazety Wyborczej”. Na dobrą sprawę, owoce owych patronatów zauważalne były jedynie na łamach „Gazety Wyborczej”. Mikrofonu radiowego, czy kamery telewizyjnej nie udało się zauważyć na żadnym z koncertów.

Andrzej Grądzman

Andrzej Grądzman

SIEDEM DOSTATNICH LAT

W ostatnim czasie tutejsza opinia publiczna reprezentowana przez słuchaczy i odbiorców muzyki zaskoczona została nieoczekiwanym odejściem z zajmowanego stanowiska **Jerzego Swobody**, dyrektora artystycznego Filharmonii Częstochowskiej. Poruszenie z tym związane podzielili również redakcyjni koledzy po piórze w swych artykułach. Zdziwienie okazało się tym większe, że jeszcze w końcu ub. roku Jerzy Swoboda honorowany był na uroczystym koncercie z racji trzydziestolecia swej znanej w kraju i za granicą pracy artystycznej. Podobnie, podczas uroczystości jubileuszowych sześćdziesięciolecia działalności częstochowskiej orkiestry symfonicznej odebrał zasłużone laury i słowa uznania.

Spróbujmy zatem z pozycji słuchacza określić i podsumować dorobek muzyczny tego dyrygenta w okresie minionych siedmiu lat.

Pod kierownictwem Jerzego Swobody częstochowscy filharmonicy przygotowali i zaprezentowali 90 koncertów, obejmujących zarówno programy sezonu, jak i inne nadzwyczajne okoliczności i okazje. W koncertach tych uczestniczyli każdorazowo w charakterze solistów wybitni artyści polscy i zagraniczni. Wśród nich można wymienić: **Romana Lasockiego**, **Zbigniewa Raubo**, **Krzysztofa Jakowicza**, **Konstatntego Andrzeja Kulkę**, **Janusza Olejniczaka**, **Adama Wodnickiego**, **Krzysztofa Jabłońskiego**, **Manahama Beuera**, **Waldemara Malickiego**, **Andrzeja Bauera**, **Idil Biret**, **Tomasza Strahla**, **Kaję Danczowską**, **Tamarę Granat**, **Kajetana** i **Lecha Bałabanów**, **Piotra Pławnera**, **Natana Dondalskiego**, **Rafała Kwiatkowskiego**, **Jakuba Jakowicza**, **Stanisława Drzewieckiego**, **Ewę Poblocką**, **Reginę Michalak**, **Joachima Pichurę**, **Batomi Moriyana** i innych. Na estradzie nie brakowało także artystów miejscowych: **Macieja Zagórskiego**, **Cezarego Saneckiego**, **Robertę Gawrońskiego**, **Ludomiry Grądzman**, **Aleksandry Szweykowskiej**, **Włodzimierza** i **Andrzeja Gołębiowskich** i innych.

Podobnie bogaty był dobór solistów wokalnych, wśród nich m.in.: **Katarzyna Suska-Zagórska**, **Leszek Skrla**, **Krzysztof Szmyt**, **Józef Frakstein**, **Zbigniew Pinderak**, **Grażyna Brodzińska**, **Bogusław Morka**, **Bożena Harasimowicz** i wielu innych.



Będąc członkiem rady artystycznej Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” dyrektor Swoboda wraz ze swymi filharmonikami występował z monumentalnymi dziełami tej muzyki, *rozpoczynając lub kończąc nimi każdy festiwal*. W szczególności godne odnotowania jest wykonanie wraz z **Chórem Polskiego Radia w Krakowie**, **Chórem Chłopców Pueri Cantores Sancti Nicolai** z Bochni i solistami dzieł – prawykonań **P. Łukaszewskiego** i **M. Jasińskiego**, wraz z *Te Deum* **H. Berlioz**a na zakończenie XII Festiwalu „Gaude Mater”, **K. Pendereckiego** *Pasji wg Św. Łukasza* wraz z solistami i chórem **Filharmonii Krakowskiej** – dzieła rozpoczynającego XIII Festiwal, wielkiego widowiska słowno-muzycznego „Ars longa vita brevis” rozpoczynającego Festiwal XIV czy imponującej realizacji II Symfonii „Zmartwychwstanie” **G. Mahlera** z udziałem **Orkiestry Filharmonicznej z Koszyc** i naszego zespołu symfonicznego, wraz z solistami i chórem na rozpoczęcie tegorocznego XV festiwalu „Gaude Mater”.

Wielkim sukcesem było przygotowanie i przedstawienie dzieła „Carmina Burana” **C. Orffa** w pełnej wersji widowiskowo-muzycznej przy wykorzystaniu sił miejscowych.

Zapisać należy całokształt organizacji i realizacji dotychczasowych **Festiwali Wiolinistycznych im. B. Hubermana**, z udziałem doskonałych wykonawców.

Na szczególne podkreślenie zasługuje też nawiązanie stałej i twórczej współpracy z zespołem aktorów **Teatru im. A. Mickiewicza**, wraz ze wspólną realizacją szeregu widowisk słowno-muzycznych z różnych okazji i okoliczności.

Z jego inicjatywy częstochowscy filharmonicy występowali z koncertami poza granicami kraju, m.in. we Włoszech, Korei Południowej i Niemczech. Duże sukcesy odnieśli podczas wspólnego ze swym szefem tournée koncertowego po Szwecji, gdzie zespół zabrał nadzwyczaj pochlebne opinie i recenzje w tamtejszej prasie.

Niezależnie od pracy z zespołem, dyr. Jerzy Swoboda utrzymywał także liczne kontakty artystyczne z zagranicą. Wystąpił z koncertem w Grensboro (USA), w Teatrze „Fedele Fenaroli” we Włoszech, w Sali im. A. Dwořaka w Pradze i w Sali Chica del Teatro des Estade w Xalapa (Meksyk). Realizuje też stałą współpracę artystyczną z Orkiestrą Filharmonii Słowackiej w Koszycach. Do tego dodać trzeba liczne występy na estradach krajowych, jak koncerty z Orkiestrą „**Sinfonia Varsovia**”, „**Capella Cracoviensis**” czy z **Orkiestrą Dolnośląską** w Jeleniej Górze,

muzyczne wizyty w Toruniu, Białymstoku, Szczecinie, Warszawie, Rzeszowie i w innych miastach. Podjął także pracę pedagogiczną w Zakładzie Dyrygowania przy Instytucie Muzyki Akademii im. J. Długosza w Częstochowie.

To zaledwie skrót ogromu dokonań Jerzego Swobody na przestrzeni minionych 7 dostatnich lat, artyści słusznie zaliczanego do ścisłej czołówki dyrygentów polskich. Dlaczego więc musiał odejść?

Gdy sięgnąć pamięcią do odległych nawet czasów minionych dziesięcioleci, w częstochowskim zespole nie pozostawał zbyt długo żaden dyrektor i dyrygent w tej samej osobie. Tzw. aktyw partyjny lub związkowy orkiestry, często składający się z ludzi o nienajlepszych predyspozycjach zawodowych za to bardzo aktywnych w innych sferach, powoływał na „czerwony dywanik” poszczególnych szefów, którzy z tych lub innych powodów nie podobali się aktywowi. Dyr. **Krzysztof Missona** (późniejszy profesor i wychowawca wielu wspaniałych dyrygentów) musiał odejść za realizację w katedrze częstochowskiej **Mozartowskiego** *Requiem*. Następca po nim – dyr. **Czesław Orszynowicz** – „polecał” za zbyt uprzejme działania mające na celu jakościową wymianę niedostatecznie przygotowanych do zawodu muzyków. **Zygmunt Szczepański** nie spodobał się za brak uznania dla tzw. demokracji twierdząc, że w zespole obowiązywać ma dyktatura. **Zygmunt Hassa** był niedoścignionym dotąd przykładem anielskiej wprost cierpliwości i wytrzymałości. Jednak i on po 14 latach pożegnać się musiał z orkiestra. Odszedł wreszcie młody i wielce obiecujący **Jerzy Kosek**.

Kiedyś napisałem, że dyrygenci to przelotne ptaki. Zbyt długa ich współpraca z tym samym zespołem może spowodować, że zarówno orkiestra, jak i jej szef ulegają negatywnej rutynizacji. Stąd zmiany miejsca pracy dyrygentów są powszechnie znane nawet w najbardziej renomowanych orkiestrach. Chodzi jednak o coś szczególnego – o styl tego rodzaju rozstania, o uznanie dorobku pozostawionego przez odchodzącego szefa. A z tym jest w zespole nie najlepiej. Mijają lata, pracę podejmują kolejne pokolenia muzyków, a złe tradycje pozostają.

Tym goręcej godzi się zauważyć podziękowanie i słowa uznania, przekazane Jerzemu Swobodzie przez prezydenta Częstochowy, **Tadeusza Wronę** z okazji inaguracji V Festiwalu im. Bronisława Hubermana, a zarazem pożegnania dotychczasowego dyrektora artystycznego filharmonii. Włodarz naszego miasta uczynił to z pewnością nie tylko w imieniu własnym, lecz i naszym – częstochowian zbratanych ze sztuką i bywalców sal koncertowych.

Andrzej Grądzman

Janusz Mielczarek

ŻYCIE MARTWYCH NATUR

Zainteresowanie fotografowaniem martwych natur przyszło do mnie z inspiracji obrazami **Mariana Michalika**, rok, może dwa po jego tragicznej śmierci. Pierwsze prace, które przede wszystkim były skromnym hołdem dla świetnego malarza, nawiązywały klimatem do jego obrazów, z czasem stając się bardziej samodzielne, niosące w sobie odmienny ładunek intelektualny – tak przynajmniej mi się wydaje. Odczuwając potrzebę ich tworzenia nie byłem jednak przekonany do szerszej prezentacji tych fotografii. Zmiana nastąpiła w czasie jednego z pokazów plenerowych, kiedy dwoje cenionych znawców przedmiotu położyło miód na moje fotograficzne serce mówiąc: te zdjęcia mają duszę.

Fotografie opuściły szufladę, pojechały na bliższe i dalsze wystawy, zainteresowały jurorów i kolekcjonerów. Wówczas pomyślałem o podjęciu próby zorganizowania w Częstochowie salonu martwej natury w fotografii. Wiedziałem, że nie ma takiej specjalistycznej imprezy w Polsce, później okazało się, że nie świecie również nie. Gra wydawała się interesująca, niosła przy tym sporo niewiadomych. Pomysł kupił dyrektor MGS, **Czesław Tarczyński**, wsparł naczelnik **Ireneusz Kozera**, poparł prezydent **Tadeusz Wrona**. Tak to się zaczęło.

Ponieważ inicjatywa była niespodziewana, rozpoczęliśmy jej realizację bez jakichkolwiek środków. Istotne były również obawy związane z reakcją fotografujących na to zupełnie nowe wyzwanie. Po cichu liczyłem na prace około czterdziestu autorów, pięćdziesięciu uznałbym za sukces.

Rozesłałem zaproszenia w różne strony: do grup fotograficznych, domów kultury, stowarzyszeń, prasy fotograficznej i do znanych mi osób, rozdawałem w czasie wystaw i spotkań. Po tygodniach nerwowego oczekiwania napłynęły fotografie od ... 115 autorów, w tym trzech z zagranicy. Poczulem się pewniej, choć warto zauważyć, że katalog wystawy przygotował na kredyt zaprzyjaźniony właściciel drukarni. Wszystko jednak skończyło się dobrze i wystawę oglądano, poza Częstochową, w galeriach Rzeszowa, Jarosławia i w czasie międzynarodowego pleneru fotograficznego w Baranowie Sandomierskim.

Druga edycja imprezy, już oficjalnie międzynarodowej, była o tyle łatwiejsza, że sugerowała znaczne zainteresowanie autorów, Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej jako drugiego po prezydencie miasta Częstochowy patrona oraz miała ważne wsparcie medialne Pisma Artystycznego „Format” i jego naczelnego redaktora, dra. **Andrzeja Saja**.

W tegorocznym Salonie nie obyło się jednak bez zaskoczeń. Jednym z nich był udział zaledwie czwartej części spośród tych autorów, którzy uczestniczyli w pierwszej edycji. Na to trudno odpowiedzieć jednoznacznie, ale przybyli nowi.

Statystycznie rzecz ujmując, obsada autorska Międzynarodowego Salonu „Martwa natura w fotografii – Częstochowa 2005” jest skromniejsza ilościowo od tej z roku 2003. Jest 77 autorów, w tym 20 z zagranicy. Fotografii też jest mniej – 351 (dwa lata temu było ich 503), ale w ocenie jurorów poziom artystyczny prac nadesłanych na wystawę jest wyższy niż w roku 2003.

Warto spojrzeć na grupę fotografików z zagranicy, która jest bardzo zróżnicowana. Trzech z nich niewłaściwie odczytało założenia imprezy, przysyłając zdjęcia nie na temat. Wśród reprezentantów 13 krajów są nazwiska bywające na największych światowych imprezach fotografii artystycznej, przy których figurują znaczące tytuły honorowe organizacji fotograficznych z całego świata, m.in.: **Veikko Walstrom** z Finlandii, **Teodor Rafu Pantea** z Rumunii, **Olav Hagedorn** z Holandii, **Josef Bruhis** z Izraela. Ostatni jest laureatem Salonu, uhonorowanym Złotym Medalem Fotoklubu RP.

Jak napisał kustosz Muzeum w Luwrze, **Charles Sterling**: "... jedyną rzeczą, jaką możemy odczytać w martwej naturze, jest życie, jakie nadaje jej artysta, widzi on bowiem w rzeczach nieożywionych materiał do marzenia." To właśnie przyciąga artystów do martwej natury, by potem mocno i intymnie związać ich z tą formą obrazowania.

Salon, otwarty na inaugurację II Częstochowskich Spotkań z Fotografacją, wywołał wiele przychylnych komentarzy, w czym głównie zasługa autorów fotografii, a także przemyślanej aranżacji wystawy przygotowanej przez **Barbarę Szyc**. Sporo komplementów usłyszeliśmy od autorów spoza Częstochowy, zwłaszcza z Krakowa, zaskoczonych rozmachem ekspozycji i atmosferą wśród wernisażowej publiczności.

Od grudnia wystawa żyć będzie w galeriach innych miast, wierzę, że wzbudzi nie mniejsze zainteresowanie niż jej poprzedniczka.

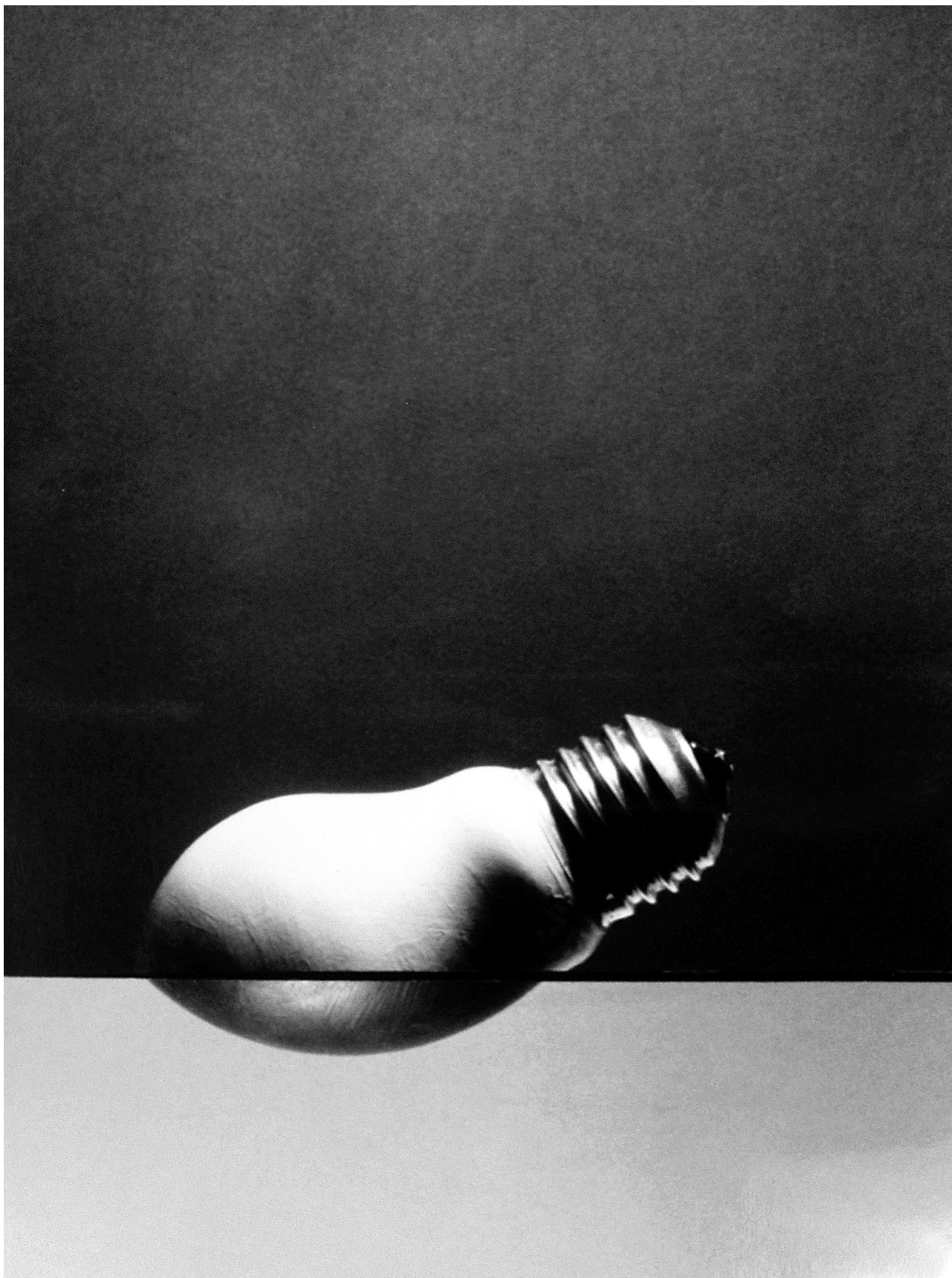
Jakie będą następne Salony? Marzy mi się, by wkrótce uzyskać dla imprezy patronat FIAP (Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej), co podnosi rangę i zwiększa zainteresowanie fotografów zagranicznych. Nie chodzi mi jednak o masowy udział autorów, którzy przysyłaliby tysiące fotografii. Ten rodzaj fotograficznego obrazu, jakim jest martwa natura, nie jest tworzony w pośpiechu, często przypadkowym naciśnięciem spustu migawki. Są to przecież fotografie wydobyte z serca, o których tworzeniu myśli się czasem miesiącami. I niech takie pozostaną. Niech je tak właśnie - z chwilą refleksji – odbiera również publiczność w galeriach.



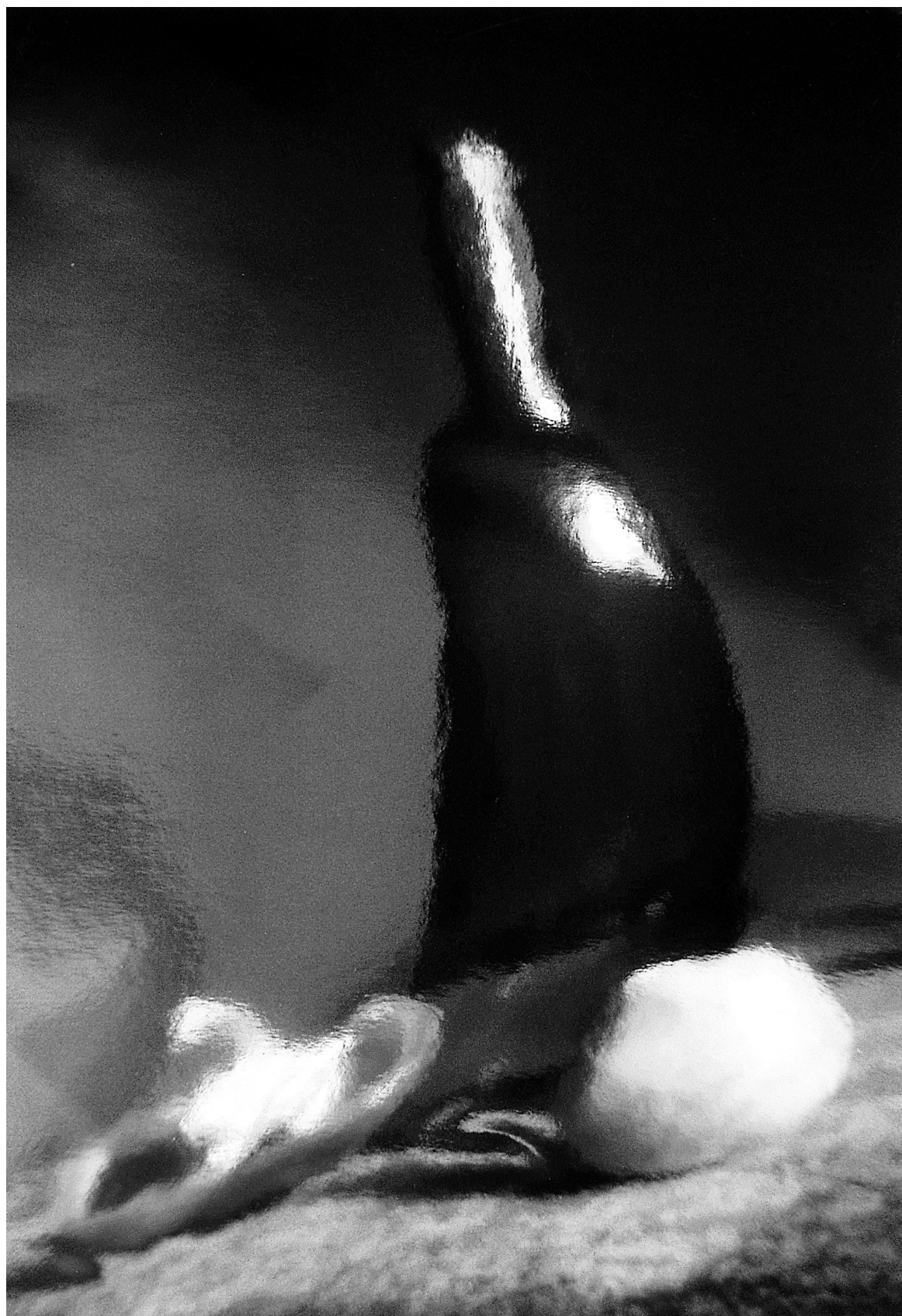
Stanislav Domaňský (Czechy) - "Wheels"



Monika Stachnik-Czapla - "Postój"



Magda Gromadzka - "Ratunku" (z zestawu)
NAGRODA PREZYDENTA MIASTA CZĘSTOCHOWY



Josef Bruhis (Izrael) - "Still-Life-1"
SREBRNY MEDAL FOTOKLUBU RP



ODYSEJA 2

na motywach Homera

w inscenizacji i reżyserii **Andrzeja Sadowskiego**

Obsada:

Odys – **Andrzej Sadowski**

Penelopa – **Agata Ochota-Hutyra**

Telemach – **Adam Łoniewski**

Kirke, Ino 2 – **Teresa Dzielska**

Atena, Mentor – **Małgorzata Marciniak**

Zeus, Terezjasz, Laertes – **Marek Ślosarski**

Matka Odysa – **Czesława Monczka**

Eurykleja, Arete – **Iwona Chołuj**

Kalipso, Ino 1 – **Mirosława Sobik**

Nauzykaa, Melanto – **Katarzyna Prudło**

Hermes, Eumajos – **Adam Hutyra**

Posejdon, Alkinos – **Antoni Rot**

Antinoos, Laodamas – **Robert Rutkowski**

Eurymach, Kliteneos – **Waldemar Cudzik**

Lejokryt, Halios – **Bartosz Kopeć**

Melantios – **Nikodem Kasprowicz**

oraz

kobiety pomocne/Syreny – **Beata Cuglewska,**

Justyna Maszczyk, Aneta Orlik, Marta Pierwocha,

Krystyna Ulamek, Monika Witkowska

mężczyźni pomocni – **Jacek Celiński, Paweł Kużdzeń,**

Zbigniew Dulnik, Grzegorz Heliński

operator – **Piotr Dłubak**

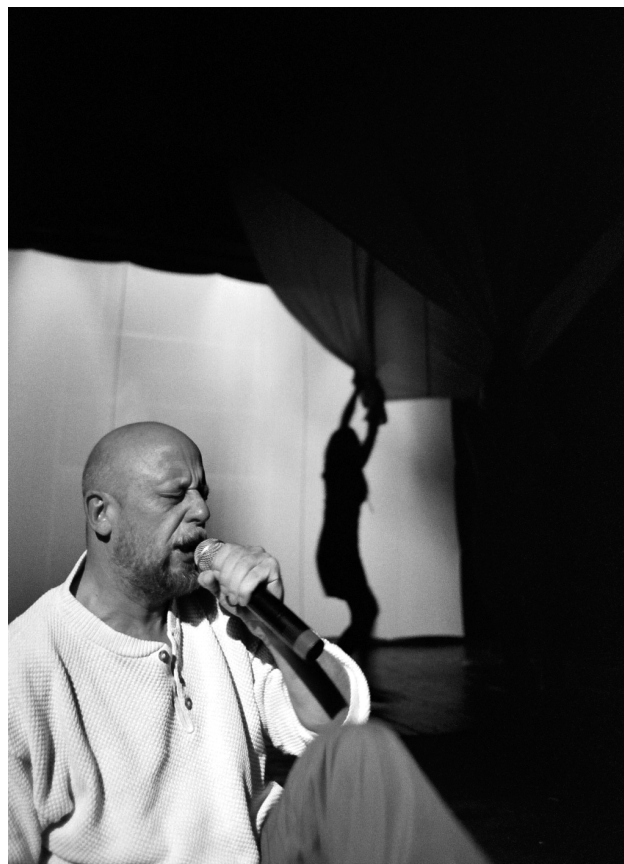
Tekst, scenografia i reżyseria – **Andrzej Sadowski**

Choreografia – **Iwona Olszowska, Marta Pietruszka**

Muzyka – **Małgorzata Tekiel**

Maski – **Dominika Radkowska**

Premiera: 29 października 2005 r.



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dlubak



Waldemar M. Gaiński

WOJTEK BRUDNY KOCUR Z KRYMINAŁU

Z cyklu: Koty

NOWE PLANY MIASTA

rano przyszli i wywieźli miasto
gdzieś w nieznane peryferie czasu
wieźli je pod bronią
lecz nie zakładali kajdan
bo i tak nie mogło uciec
do innego miasta
teraz je przebrali w szare ciuchy
beznadziejnych dni i neurotycznych nocy
drwili że już nie jest takie dumne
harde niepokorne że nareszcie
ktoś mu zamknął mordę
za kratami skąpych praw nakazów
że już tego miasta długo nie zobaczą
w mieście a wypisać może się już tylko
na papierze stonowanych listów
i nikt nie wie teraz
ile jeszcze kalendarzy schudnie
nim uwzględnią je edycje
nowych planów resocjalizacji miasta

Herby, dn. 19 VI 2005 r.

wojtka nikt nie zamknął rano
wojtek się urodził niewolnikiem
i dla niego kraty cele i zamknięcia
są normalnym domem
bo innego domu przecież nie zna
ludzie są dla niego normalnymi ludźmi:
jedni noszą jednakowe sorty z dystynkcjami
są ważniejsi częściej krzyczą
i czasami
mogą nawet strzelić w plecy
jeśli ktoś z tych innych
popróbowalby jak kot
miętko skoczyć z okna
albo spacerować skrajem
bezdusznego muru poza którym
umierają lata twarze i miłości

wojtek jest więziennym kotem
z małej wioski herby
zna tych innych których
na godzinę wypuszczają
na wybiegi za kolczastą siatką
ktoś z nich czasem go pogłaszcze
ktoś podzieli się śniadaniem
ktoś podniesie i przytuli tak
jak sam by chciał być przytulany
bo być może
mały brudny kocur z kryminału
komuś teraz się skojarzył
z abstrakcyjnym słowem „wolność”
czego wojtek już w ogóle nie rozumie

Herby, dn. 23 V 2005 r.

Aleksander Wierny

ZRYWKI

John i Franciszek

John Doe, Houston. Musi zminimalizować koszty, po to właśnie podkupiono go z konkurencyjnej firmy, więc tnie, redukuje, zmniejsza. Nie ma wyrzutów sumienia, bo przecież zmieniają się tylko tabele i wykresy. Ekran komputera mży bezosobowo i neutralnie.

Franciszek Kawalec, Polska. Amerykański koncern przenosi produkcję na Filipiny, bo tam jest taniej. Franciszek traci pracę i nie może znaleźć innej – w jego miasteczku po prostu nikt już nikogo nie zatrudnia.

Franciszek nie zna Johna i nigdy go nie pozna, nie dowie się, jaką John wykonał pracę, nie może zatem obarczyć go winą. John nic nie wie o Franciszku, a gdyby nawet wiedział, poznał go i poznał realne konsekwencje swoich wyliczeń, nie czułby wyrzutów sumienia: on tylko wykonywał swoją pracę.

Jest skutek i przyczyna, ale nie ma odpowiedzialności. Jest wina, lecz nie ma kary. Jest silniejszy niż kiedykolwiek związek między dwoma dowolnie wskazanymi osobami (kogokolwiek z kimkolwiek, gdziekolwiek), ale zaczyna brakować narzędzi, które nie pozwalają na wyrządzenie krzywdy.

Głowy tych ludzi

Julia Hartwig w „Błyskach” o czasach komunizmu: „Nie to mam wam za złe, że nie ma w sklepach mąki, cukru, albo mięsa, ale że wypełniliście głowy tych ludzi jedną przeklętą myślą, jak zdobyć mąkę, cukier, mięso”.

Głowy tych ludzi (a także tych, którzy komunizmu nigdy nie doświadczyli) są dziś wypełnione po brzegi myślami o nieskończonej ilości dóbr, w głowach tych ludzi jest tylko pożądanie, które sami dla siebie wybrali (komunizm wybierał za nich).

Pożądanie jest pierwszą przyczyną cierpienia – powiada Budda.

Komunikacja

Oceniają nawzajem swoje ubrania, biżuterię, dodatki, fryzury, oprawki okularów i samochody. Wszędzie – na ulicach, w klubach i restauracjach, na parkingach, w kinach, supermarketach, na plażach. Porównują, budują swoją tożsamość, odnoszą się, kreują.

Szybkie rozpoznanie, płynna komunikacja. Metka, logo, design. Znaki powszechnie znane. Rzeczywistość rozpoznawalna na pierwszy rzut oka, więc bezpieczna, okiełznana, zrozumiała. Ale szybko się zmienia, trudno za nią nadążyć, trzeba się spieszyć, łatwo nie sprostać.

Śmierci w tym świecie nie ma. Nie ma też nieśmiertelności. Jest tylko chwilowa ulga, są momenty zadowolenia, błyski spełnienia. Orgazmy, które nie prowadzą do zapłodnienia.

Tragarz

Zebrane przez niego (kimkolwiek jest) rzeczy nie mieszczą się na wózku, prawie się przesypują, jest ich niemal zbyt wiele. Cały ten stos to rzeczy niepotrzebne innym, bardzo wielu innym. Cała ta hałda jest niewiele warta, ten, który pcha przed sobą wózek, nie dostanie za nią zbyt wiele.

Bardziej metaforycznie: ten który pcha wózek, sam jest śmieciem, odpadkiem. Takich, jak on jest wielu, bardzo wielu. Są niewiele wariacji (z punktu widzenia tych, którzy śmieci się pozbywają). Ale wózek już się zaczyna przepelniać, niewiele brakuje, żeby śmieci przykryły trotuary, ulice, klatki schodowe, lotniska, podłogi biurowców, miejskich szaletów, dworców...





Anna Chowska

SPOTKANIE

Gdy go zobaczyła, była zaskoczona, ale niecodziennie oczarowana. Weszła do studia w chwili przerwy, kiedy on akurat podpisywał płytę. Musiała to być długa dedykacja, bo nawet nie drgnął by bodaj obrzucić ją wzrokiem. Po dłuższej chwili przerwał, powiedział „chwileczkę” i wrócił do pisania. Gdy skończył, podniósł wzrok, wstał i przywitał się, co sfinalizowało na żywo półroczną telefoniczną – korespondencyjną znajomość.

Serce zaczęło jej bić jeszcze mocniej, niż w chwili kiedy weszła do studia.

Mieszkała przecież na prowincji i chyba cudem udało się jej sprowadzić tu jego, niekwestionowaną gwiazdę, legendę od ponad 30 lat.

Za chwilę miało rozpocząć się spotkanie, na sali panował nastrój ogólnego podniecenia, a ona w kularach, towarzysząc mu w paleniu papierosa, miała okazję obserwować starannie ukrywaną treść.

Atmosfera na sali była od pierwszych chwil bardzo ciepła, a on okazał się cudownym showmanem, w najlepszym stylu bawiącym publiczność, szczerym, dowcipnym, ponad oczekiwanie sympatycznym. Podobał się, po prostu oczarował, nawet tych namówionych, którzy go nie znali wcześniej.

Była mu bezgranicznie wdzięczna, że jednak się zgodził na to spotkanie, co graniczyło z cudem na wstępie uzgodnień. Była mu wdzięczna podwójnie, bo w przeddzień podobno zachorował i już był bliski telefonu, że nic z tego nie będzie. Ale był. Był i bawił. Bawił i wzruszał. Wzruszał i poruszał. Dawał kawałek siebie, czyli wielkiego, a na pewno większego świata. Był niepowtarzalny w swym niepodlegającym ocenie stylu, piękny w swoim naturalnym, osobistym uroku, czemu podlegali wszyscy, nie wyłączając jej, mimo, że musiała cały czas panować nad sytuacją. Nie mogła sobie pozwolić na chwilę zapomnienia nawet wtedy, gdy pięknie dziękował za spotkanie, a ona wręczyła mu ogromny bukiet pięknych, pąsowych róż, ulubionych, osobiście wybranych. Róż, które dziś, zasuszone, ostatecznie należą do niej.

Ze spotkania jechał na koncert, więc odwoziła go na dworzec. Nagle usłyszała, że jest urocza. Komplement

wypowiedziany został mimochodem, między informacjami o rychłej podróży do Londynu.

Zaproponował spotkanie, dając jej prywatny numer telefonu. Miała przy okazji przekazać plakat ze spotkania i drobny upominek, który otrzymywał każdy gość.

Na spotkanie przyjechał z ostentacyjną punktualnością. Wybiegł z samochodu, by bardzo serdecznie ją powitać, zupełnie inaczej niż w dzień pożegnania, tak jakby znali się latami. Zaprosił na obiad. Czas płynął astronomicznie szybko na wzajemnych zwierzeniach. Okazało się, że bardzo dużo ich łączy, pewnie równie dużo dzieliło. Ale umiał słuchać, słuchać w skupieniu i życzliwie. Zdecydowanie lubił też mówić, mówić dużo i nadzwyczaj szczerze, co dodatkowo odurzało. Nie zastanawiała się, czy wszystkim serwuje takie swoje osobiste dossier, czy może stała się kimś na specjalnych warunkach, mogącym poznać niepoznane wszystkim tajemnice.

Po latach martwych, spopielałych, smutnych, czyżby była zakochana? Gdy go zegnała, czuła się tak, jakby uczestniczyła w jakimś metafizycznym przedstawieniu.

Po powrocie do domu, nie mogła się zupełnie odnaleźć, nie mogła spać, nie mogła skupić myśli na niczym, poza nim.

W rozmowie okazał się człowiekiem niepospolicie urokliwym, czułym, ciepłym, opiekuńczym, ale i człowiekiem skrajnych przeciwieństw.

Zanim to zwerbalizowała, zakochała się bez pamięci, zupełnie, totalnie. Czy w chwili gdy chciała tego spotkania, by urozmaicić bezbarwny krajobraz kulturalny, mogła przypuszczać, że to tak się skończy?

Przecież niejedno spotkanie było za nią, wcale nie mniej ekscytujące, ale żadne nie sięgało tak głęboko w nią, w jej osobowość, w jej obolałe, wystudzone wnętrze. Zupełnie nie miała pojęcia, że jest jeszcze zdolna do tak gwałtownych, młodzieńczych, tak, młodzieńczych uczuć. A on zdawał bawić się, zakamuflowany do ostatnich granic, nieodkryty, nierówny, może nawet chimeryczny. Otwarty, ale niedostępny, zadowolony, to znów zniechęcony; rozgadany, to znów milczący. I żadnych otwartych sygnałów uczuciowych. Pełna ciągłych domysłów, to chwytala się nadziei płynącej z propozycji, to staczała się na dno rozpaczy, gdy chłodno oświadczał, że w tym czasie będzie daleko. Niewiele od niego chciała. Nauczona kilkoma, wcale dobrymi doświadczeniami wiedziała jedno na pewno: nie wolno „czyhać”, nie wolno „chcieć zagarnąć”, nie wolno niczego sobie obiecywać. Trzeba czekać i brać w czystej postaci to, co niesie chwila.

Nie planować, niczego nie narzucać, niczego nie oczekiwać. Trzeba cieszyć się otrzymanym, wolno być rozmarzonym, wolno być szczęśliwym.

Wprawdzie niewiele chciała, a udzielona sobie zgoda na rolę dziewczyny na godziny była suwerenna i przemyślana, to jednak cierpiała z powodu jego braku zaufania, podejrzliwości graniczącej z obłędem.

Bojąc się jego, bała się też siebie. A on, znakomicie wyczuwając te wszystkie nastroje, działał cały czas na swoją korzyść z dziecinnym niemal wdziękiem.

Był z nią, by być obok niej. Uczył, ale nie chciał sprawdzać efektów nauczania. Kochał, by udowodniać chłód uczuciowy. Ona wiedziała tak naprawdę tylko jedno, nie można go do niczego zmusić. Robi tylko to, na co ma ochotę, jednocześnie tak kształtując swoje potrzeby, by udawały, że nimi nie są ... Kiedy do niego dzwoniła proponując spotkanie, zawsze musiała być w jednakowym stopniu przygotowana na akceptację, jak i na odmowę.

Różliczne zajęcia zawodowe stawiały go wobec różnych, czasowo rozrzuconych zadań, ale doskonale potrafił znaleźć dla siebie wolną chwilę, by się jej oddać i czerpać z niej jak ze źródła. Lubił stwarzać pozory wielkiego opętania pracą, co odbierała jako rodzaj kamuflażu, strachu przed okazaniem podporządkowania się także naturalnym potrzebom.

Obserwowała jak od czasu do czasu jego skorupa pęka i powoduje dopływ powietrza do wnętrza, lecz tylko po to, by zasklepić się mocniej.

Chwile bliskości dawały ogromną, wzajemną satysfakcję, były zdumiewająco jednorodne, ujawniały wzajemne oczekiwania. Wtedy nie był egoistą, nie myślał wyłącznie o sobie, przeciwnie, bardzo dbał, by nic nie umknęło i harmonijnie się zamykało, by precyzyjnie razem zmienić wymiar i błędzić w nieznanym. Jego delikatność była zdumiewająca, tym bardziej im bardziej zdumiewające były jej efekty, nieoczekiwane i wystarczająco zaskakujące ich oboje. Był człowiekiem dojrzałym, trochę ode niej starszym, więc jego świadomość wzajemnych, intymnych relacji była na pewno już pełna. Umiał to wykorzystać, umiał z tego czerpać, umiał dawać siebie. Budził nieprzewidywalne, nieznanne dotąd emocje, trudne do wyhamowania.

Jednak będąc ze sobą, byli obok siebie. Na jego wyraźne życzenie.

Stany przeżytego szczęścia ulatywały, stawały się sensualną efemerydą, a bycie razem było chłodnym mijaniem bez dotyku, rozmowami, a często monologami, wspólnym posiłkiem.

Rozstanie zawsze było dla niej pełną niepokoju niewiadomą, czy jest to ostatnie spotkanie. Miotana tęsknotą między spotkaniami zawsze przyplącała stanem wewnętrznej hysterii telefon do niego, a naładowane akumulatory gubiły swoją moc w przyspieszonym tempie i nie potrafiły jej uspokoić przed kolejnym podniesieniem słuchawki. Zauważała, że zbyt często płacze, zbyt często czuje się opuszczona i samotna. Wprawdzie jego ciepło ubezwłasnowalniało, ale jego chłód hibernował. Rozczulała się nad sobą, bo nigdy nikt nie przytulał jej tak czule jak on. I tego najbardziej jej brakowało w tygodniach bez niego.

W dodatku przerastał ją dojrzałością, intelektem, samodyscypliną. Pragnęła być z nim, ale paraliżował ją strach, bo ją boleśnie przytłaczał. Jednocześnie nie mogła uwolnić się od uczucia, że stanowią odnalezione dwie połówki jabłka.

Pragnienie nie spełniło się, bo ostatecznie nie dopuścił jej do siebie.

Dotknęło ją to boleśniej niż sądziła. Jak łatwo słowem zabić.

Przestała rozumieć otaczający świat, miała bowiem wrażenie, że jest on za szklaną szybą, a widziane obrazy to nie rzeczywistość, tylko niemy film.

W rozsypanych myślach nic nie chciało się ułożyć w całość.

Nie dotykała bolesnych miejsc i zawieszona na linie tańczyła, skupiona by nie spaść.

Nie wiedziała, jak dalej żyć, bo nie umiała żyć w chwili, która trwała. Nigdy tak nie kochała. Choć kochała już całą sobą, silnie i zdawało się, że „na śmierć i życie”. Zresztą, podobno każda miłość jest pierwsza. Ta była cudem dorosłego życia.

Powinna być najszczęśliwszą istotą, którą los pomazał takim wyróżnieniem, tymczasem szczęścia i zachwyty nie mogła przełożyć na dialog, bo oto została sama.

Anna Chowska



Robert Kurpios

WARTOŚĆ DOBREGO TRUNKU

W kamienicy przy Garncarskiej siedziało czterech mężczyzn. Pokój, w którym pili, zszarzał od dymu z popularnych. Mężczyźni wierzyli w uzdrowicielską moc denaturatu. Najbardziej wierzący był gospodarz, Rysiek, wyglądający na faceta, którego święta ziemia nie będzie długo nosić.

Była noc. Brukowaną uliczką przejechał policyjny radiowóz.

- Czego ta suka tu szuka? - warknął facet siedzący obok okna.

- Dobra, my tu nawijamy, a stodoła płonie!

Rysiek przyglądał tłuste włosy i wlał do szklaneczek porcję dynksu, równiutko pod pudełeczko zapalek. Nadszedł czas toastów.

- No to, żeby nam Żydy Polski nie rozkradli!

- Za starą, dobrą komunę!

- Za tych, co im nie staje!

- I za wszystkich zgredów z Zawodzia!

Wypiwszy działeczki, otrząsnęli się. Na zagrychę mieli papierosy. Księżyc w pełni zaglądał do mieszkania. Gdy zaczęli wrzeszczeć na złodziei w rządzie, mrok miasta rozświetliły niebieskie błyski. Zamilkli.

Czy to gliny niewinnych obywateli gonia, czy może pogotowie pędzi do nieszczęśnika, który miał dosyć tego świata?

W paczce leżącej na stole zostały dwa popularne. Każdy wziął po połówce. Wciągając głęboko dym w płuca, Józek z Targowej zagaił:

- Rychu, a gdzie Jadźka?

Zamyślony gospodarz ocknął się.

- Odwał się od mojej kobity!

- Każdy wie, że poszła w długą. Niedługo będziesz zawadzał porożem o sufit!

- Spadaj, dęty frajerze!

Otyłe chłopisko nie mogło pogodzić się z wyzwiskiem.

- Słyszeliście ziomkowie, co ten parch palnął!

Ziomkowie nie słyszeli. Wspominali czasy, kiedy Raków grał w pierwszej lidze i zajmował niezłe miejsca w tabeli. Później huta podupadła i drużyna poszła na dno. Cóż, tak to w życiu bywa. Chłopcy dalej sławili przeszłość.

- Pamiętasz Jasiu, jak my robili we młynie - zachrypiął z tęsknotą w oczach Heniek alias Siwy.

- Taa ... było dobre żarcie, gorzała...

Mężczyzna z Targowej biegał po pokoju.

- Nie będziesz wyzywał mnie od frajera! A Jadźka to największa dziwka w mieście!

Rysiek zerwał się i podbiegł do kredensu. Za moment słoik po musztardzie przeleciał koło ucha grubasa.

- Dajta spokój, panowie!

Ryży Jasiu próbował załagodzić konflikt. Nie wyszło. Józek posłał trzy szybkie gospodarzowi. Ten wylądował obok tapczanu. Wśród kompanów rozpełtała się kłótnia. Wrzaski trwały jakiś czas, ale w końcu przyszła pora na rozlanie kolejki. Właściciel, którego lokal miał gwiazdkę więcej niż zapuszczony chlew, najszybciej przełknął porcję. Po szklaneczce chłopakom zachciało się palić. Niemal jednocześnie spojrzeli na przepelniony kiejami słoik. Skręcając z gazetowego papieru papierosy byli wyraźnie zadowoleni. Po pierwszych haustach wróciła im wiara w życie. Przez okno wyleciała butelka po denaturacie.

- Reszta gorzały na rano - zawyrokował Józek, spoglądając na drugą flaszkę wzrokiem filmowego amanta. Ferajna poszła w kimono.

Około piątej czerwcowe słońce pojawiło się nad dachami kamienic. Józek obudził się pierwszy i zaczął potrząsać kumplami. Nie lubił samotności. Ci pomamrotali coś o niesprawiedliwości świata, ale w końcu wyszli z barłogów. Wszyscy oprócz Ryśka.

- Cholera, co z nim jest? - spytał Siwy.

Zaczęli go dotykać. Po chwili wiedzieli, co z nim jest. Facet był sztywny. Wypadli z domu niczym dłużnicy gonieni przez windykatora. Pierwsze dwieście metrów przebiegli w dobrym tempie. Później musieli odsapnąć.

- Po coś go walnął, Józek?

- Że niby od tego się przekreśli?

- Chorowity był, miał kłopoty z serduchem - współczującym tonem wyjaśnił Jasiu.

Skręcili w ulicę Warszawską, przy której nigdy nie wydarzyło się nic dobrego. Słońce zaczęło mocniej grzać. Czuli suchość w gardłach - poranną udrękę alkoholików.

- Niech no psy złączą wężyc. Stara Kucharska pewnie już dała cynk. Żegnaj gorzało na wolności! - zdenerwował się Józio. Miał mokry podkoszulek. Zaczął szukać w kieszeni drobnych, ale wyciągnął tylko połówkę skręta. Zrezygnowany spojrzął na kolegów. Nagle między brwiami Ryżego Jasia pojawiły się pionowe bruzdy. Po chwili ciszę przesyłał rozdzierający krzyk:

- Kurwa, chłopaki, wracamy. Zostawili my butelkę dynksu!

Rafał „Jeżyk” Kasprzak

ZARAZA

Wschodzące słońce, promieniami ostrymi jak bagnet, ciepło powieki jeszcze martwe od snu. Puste korytarze powoli wypełniały się przychodzącymi i opuszczającymi szpital. Jak każdego rana czajnik bulgotał niezrozumiałą melodię, a zapach kawy budził do życia otępiełe ciała. Właśnie minęła siódma – oznajmił ciepły, wydobywający się z radioodbiornika głos. Mówiono o inflacji, strajkach i wydarzeniach, które nas jeszcze nie dotyczyły. Mały wyjątek stanowiło wydarzenie na wschód od Polski. Śpiewny ton spikera oznajmił: Epidemia zbiera żniwo... Nie wiedzieć dlaczego, właśnie ta wiadomość wprowadziła naszą poczciwą Panią Krysię w fazę wielkiego ożywienia. Uśmiechnęła się, a rozwiązany język zakończył erę milczenia. Poprawiła okulary, badawczym spojrzeniem upewniła się, czy na pewno jej słuchamy. – Kilka dni temu tłumaczyłam wnuczce, że w kraju sąsiadującym z Polską wybuchła epidemia cholery. Próbowałam wyjaśnić, iż nie każde brzydkie słowo takim jest, a wszystko zależy od tego, co oznacza. Opowiadałam również o objawach i skutkach, a przede wszystkim - co robić, by uniknąć choroby. Wreszcie stanowczo stwierdziłam: rada jest tylko jedna – musisz bezwzględnie pamiętać o myciu rąk, zaraz po powrocie z miasta czy piaskownicy, a zresztą, najlepiej dbać o higienę zawsze i wszędzie.

Słuchaliśmy z wielkim zainteresowaniem, bo jak większość opowieści z poranną kawą w herbie, ma ciekawy przebieg, lub co najmniej pointę. Stuknęły filiżanki, atmosfera rozluźniła się. Pani Krysia mówiła dalej: - Wczoraj usiedliśmy do obiadu, jak zwykle jedno miejsce czekało na wiecznie spóźniającego się ojca Karoliny. Kilka chwil później Tomek wbiegł do jadalni, bez chwili namysłu usiadł przy stole. Karolina znudzona podniosła głowę znad talerza i zapytała: - Tata, myłeś ręce? Zdziwienie jego było wielkie: - A dlaczego pytasz? – Bo babcia mówiła, że trzeba myć ręce natychmiast po przyjściu do domu, bo kurwica panuje.

Wszyscy parsknęli śmiechem i chociaż kawa nieubłaganie się kończyła, zgodnie stwierdziliśmy, że przestroga odniosła lepszy skutek niż zamierzony, a zarazy - no cóż - były, są i będą.

DEBIUT

Dawid Okularczyk KONDOLENCJE

jak zlatujące na dach gołębie
które nie są aniołami

jak zachód słońca w ciepłych barwach
który nie kończy dobrego dnia

jak zmrużone oczy kobiety
które kłamią o orgazmie

jak słowa przyjaźni
które są tylko chwilą słabości

jak wszystko co żyje

bo musi umrzeć

Bartosz Mazur

SPRAWIEDLIWY BYŁEŚ HIOBIE

W czarną chustę rozpaczy ubrany

W łzy ciężkie twarz skryta

Rozdarte smutkiem serce

Wystarczy chwila by nagim pozostać

Tak okrutna bywa tylko prawda

Tak surowe jest tylko życie

Jest jedna zasada

Bóg dał, Bóg wziął

A nam ziemianom zostaje

Tylko nadzieja



Zbislaw Janikowski

DO SZKOŁY

Kiedy zaczyna się nowy rok szkolny?

Większość uważa, że pierwszego września. Ja po latach doszedłem do wniosku, że nie, że w tak zwanych moich czasach miało to miejsce mniej więcej na przełomie maja i czerwca.

W szkole wszystko było już jasne, poukładane. Nauczyciele wiedzieli swoje, uczniowie też. Nieliczni niepewni szaleli, kuli, liczyli na zapowiadane poprawki, pewniacy szpanowali i choć w szkole trwały jeszcze zajęcia, w najstarszych klasach matury, większość żyła już wakacjami nie myśląc o nieuchronnym nowym roku i w gruncie rzeczy miłym powrocie do szkoły, który musiał nastąpić 1 września.

W międzyczasie były świadectwa ukończenia którejś tam klasy, okolicznościowe patetyczne mowy, nagrody dla wybranych, połajanki dla znakomitej większości, domowe pogadanki dydaktyczno – wychowawcze a u niejednego i ojcowski pas w użyciu.

Dzień rozdania świadectw był dla wszystkich dniem ulgi i tryumfu, największym dla tych, których straszn i bezwzględni nauczyciele przeciągnęli „za uszy” do następnej klasy.

A wokół szalało lato, rozpoczynały się wakacje, czas niczym nieokielzanej swobody. Otworem stały ulice, podwórka, ogrody, parki, piwnice i dachy. Wyjazdy na letniska lub kolonie były dla nielicznych, wybranych.

Czasem zdarzały się niedzielne wycieczki za miasto, wielkie rodzinne święto, wydarzenie, przerwany w codziennym niezdiscyplinowanym, swobodnym letnio wakacyjnym życiu. Najpopularniejszy był specjalny letni wakacyjny pociąg do Ważnych Młynów, nabity do granic możliwości, rozwrzeszczany, zatarasowany kosztami prowiantu, w którym dominowały jaja na twardo i bańki z kompotem. Z niejednego koszyka wyglądała figlarnie owinięta ze względów bezpieczeństwa w ściereczkę, zalakowana główką butelki. Lak był kolorowy w zależności od zawartości butelki i tak czysta z białą kartką (najlepsza i najdroższa) miała biały, niebieska (średnia) niebieski i popularna czerwona – brązowy (niedbalstwo, czy oszczędność), a i wielkość butelek różna, od ćwiartki po litrówkę. A trzeba wiedzieć, że tę tajemną wiedzę posiadałem bardzo wcześnie, gdyż rzeczony butelki były nieujawnionym źródłem dochodu. Znajdowało się je w bramach, piwnicach i innych zakamarkach, starannie myło w podwórkowych zdrojach i sprzedawało w „Jedności” po 30, 40 i 60 groszy za sztukę w zależności od ich pojemności. Litrówki mimo

dobrej ceny były trudne w myciu i nieporęczne, przy tym rzadko używane, najczęściej w obrocie znajdowały się ćwiartki. Pamiętam jak raz mój serdeczny kolega (dziś profesor), działając na własną rękę podebrał z jakiejś piwnicy kilka półlitrówek, które spieniżył. Prawdopodobnie tajemnica nigdy nie wyszłaby na jaw, gdyby nie wyrzuty sumienia i mimo wszystko lojalność, biedak poszedł wypowiadać się z tego niecnego czynu! Ksiądz surowo nazaczył pokutę i dodatkowo kazał mu przyjść i zabrać wszystkie zbędne butelki z księżej piwnicy. Poszliśmy razem, nie było tego dużo, ale do dziś dręczy mnie dylemat czy „Pan Profesor” złamał tajemnicę spowiedzi czy nie.

Nie wszystko było zawsze wspaniałe. Od czasu do czasu zjawiały się ciotki, przyjeżdżały z daleka, siedziały w domu po kilka dni i zadawały dziesiątki pytań, zawsze o szkołę, o stopnie. Potworny nietakt, w lecie, w wakacje!

Miejskie podwórkowe lato w wielkich czynszowych kamienicach (nie było jeszcze bloków, co najwyżej place ich budów) lub małych parterowych domkach na sąsiedniej ulicy integrowało, niwelowało różnice wieku, zgodnie żyły maluchy i prawie dorośli, ci co już popalali. Dziewczyny przeważnie bawiły się w sklep lub dom, grały w klasy i inne byle jakie dziewczynskie zabawy. Żadna z nich nie łąziła z nami po dachach, nie wybierała młodych kawek z gniazd w kominach, nie czołgały się na skraj świeżo smołowanego dachu, by znad jego krawędzi, znad samej rynny oglądać świat niedostępny przeciętnym śmiertelnikom. Paniecznie bały się ciemnych i zimnych piwnic, za to lojalnie przynosiły z domów masło, którym nie zawsze skutecznie udawało się usunąć plamy ze smoły, ślad dachowej wyprawy. W ciemnych, wilgotnych piwnicach przechowywaliśmy przeróżne skarby, być może niektóre z nich leżą tam do dziś, trzeba by zwołać kolegów i iść poszukać. Może warto? Niektóre zdarzenia miały też przykre konsekwencje. Tak zdarzyło się z „wiwachami” urządzeniem skonstruowanym z litrowej unrowskiej (amerykańskiej), w zielonym wojskowym kolorze puszek po czymś tam, podziurawionej gwoździem dla dobrego cugu, umocowanej na drucie, wypełnionej suchymi liśćmi, które się podpalało i „wiwając”, kręcąc nad głową produkowało ogromną ilość duszącego, śmierdzącego dymu. Otóż te uzbrojone i podpalone „wiwachy”, pogonieni przez stróża czyli dozorcę, ukryliśmy w piwnicy. Pech chciał, że złapały cug jak nigdy, dym wypełnił klatkę schodową i całe podwórko, ktoś nerwowo wezwał straż pożarną. Oj, działo się, działo!

Generalnie, stróże byli największą wakacyjną zmorą. Mało wyrozumiali dla najwymyślniejszych różnorodnych zabaw, utrudniali je jak mogli. Nawet najłagodniejszy ze znanych mi, Pan Stanisław, gdy wnerwiła go jego „stara”, pogonił i przylał miotłą.

A zabaw podwórkowych było bez liku. Dzieliły się na plenerowe na pogodne dni, gdy grało się w "trąca", "kopę" lub "zośkę" i halowe, rozgrywane w niepogodę na klatkach schodowych. Grało się w "oko", "tysiąca" lub "bączka" - mogę się pochwalić, że zdarty do "imentu" bączek z wytartymi symbolami "daj stawkę" - DS, "bierz wszystko" - BW, "towarzystwo" - T – gdy wszyscy uczestnicy gry musieli solidarnie wnosić stawkę do puli i innymi, odnalazł się ostatnio w zapomnianej szufladzie.

Zajmowaliśmy się też wspólną hodowlą królików. Pogłowie nigdy nie przekroczyło dwóch sztuk a przeważnie na stanie był jeden, bo drugi zdychał. Do dziś nie wiem, czy z przejedzenia czy niedożywienia, bo liści od kapusty w budce pana Malinowskiego nigdy nie brakowało, za to kisły i psuły się dosyć szybko. Jedno jest pewne, króliki nie miały w uszach parchów. Leczyliśmy je siarką, kupowaną w aptece za pieniądze uzyskane ze sprzedaży butelek.

Byliśmy samowystarczalni, stać nas było nawet na landrynki kupowane w sklepiku na sztuki. Zakupowi towarzyszyło nieodłączne pytanie o godzinę, na co właściciel, Pan Franciszek, sięgał do kieszonki kamizelki, wyciągał przedpotopową "cebule" na dewizce i choćby miało to miejsce nawet sześćdziesiąt razy na godzinę udzielał informacji.

Rosła też armia najróżniejszych mistrzów i specjalistów od łażenia po drzewach, plucia do celu i na odległość, szybkobiegaczy i innych. Szeregiem talentów wykazywał się od najmłodszych lat mały, krzywonoży, rudawy blondynek, wiecznie zasmarkany – Mietek. Jeszcze jako maluch uprawiał dyscyplinę zupełnie dziś zapomnianą – toczenie fajerki lub rowerowej "rajfy". Przemysłnie wygięty drut tworzył prowadnicę, utrzymująca toczoną fajerę w pionie, zaś całkowity efekt zależał od szybkości biegu i wytrzymałości wyczynowca. Mietek na swych krótkich nóżkach "zapychał" ile włożył, warczał przy tym wspaniale, plując na lewo i prawo i jeszcze do tego trąbił jak samochód. Gdy podrosł (a niewiele mu się udało – bo i dziś jako stare chłopisko nie przekracza półtora metra) był niezrównanym mistrzem we wszelkiego rodzaju grach hazardowych.

Podwórka, szczególnie głębokie studnie w czynszowych kamienicach, od samego rana rozbrzmiewały tysiącami różnorodnych dziś zapomnianych dźwięków.

Najmniej ciekawe towarzyszyły węglarzowi, który zaprzęgnięty w swoistą uprzęż ciągnął za sobą drewnianą lorę z osadzonymi w niej czterema wiklinowymi koszami, wypełnionymi węglem. „Wągiel, wągiel...” dudniło w kamiennej studni podwórka, a potem kosz na plecach biznesmena wędrował do wskazanej piwnicy lub komórki. Uzupełnieniem tej kuchennej logistyki był chłop z wozem wiązek drewna na rozpałkę.

Chłop sprzedawał sosnowe białe, pachnące żywicą smolne szczapy powiązane w wiązki słomianym powrósem. Wydawał przy tym długi przeciągły okrzyk "dziewo...", okrzyk, którego nie powstydziliby się sam wielki Winnetou – Czerwonoskóry Gentelman.

Największą atrakcją stanowili mechanicy. Chodzili zwykle koło południa kiedy rozpoczynało się gotowanie obiadów a gospodynie i gosposie odkrywały wszelkie kuchenne awarie. "Blacharz! Lutuje, reperuje, garnki, miski, kubły, czajniki! Lutować, reperować. Blacharz"! Rozsiadał się na schodkach do klatki schodowej, rozkładał warsztat. Na płachcie leżały lut, karbol, pilniki, papier szmerglowy. Żarzył się ogień w nim do czerwoności rozgrzewała lut-kolba, skwierczało, syczało, unosił się błękitny dymek i w garnku obok poprzednio załataną dziurę pokazywała się nowa piękna plomba. Naczynie nie ciekło do następnego razu, do następnej dziury. Niejednokrotnie słyszało się przy tym – moja pani, patrz pani, ten garnek po mojej mamusi wyprawowy, jeszcze za cara i teraz się popsuł.

"Noże, nożyczki, nożyki..." wołał następny fachman, rozstawiał swój warsztat: połączenie koła rowerowego, pedału od kołowrotka i przekładni napędzającej kamień szlifierski. Sypały się iskry, zgrzytało i świstało a niemilosiernie tępy nóż zmieniał się w chirurgiczny lancet. Ten gromadził zawsze najwięcej gapiów, najmłodszy siedzieli w koło w kucki, wpatrzni i urzeczni ognistym widowiskiem. Potem warsztat przekształcał się w jednośladowy pojazd popychany przez właściciela i odjeżdżał na następne podwórko.

Śródmieście kojarzy się zwykle z kilkoma głównymi ulicami, zamknięty kamienny świat, ale wtedy wokół były ogrody a w nich za drewnianymi płotami, z których bez problemu usuwało się sztachetę - owocowe drzewa, najpierw czereśnie, potem papierówki, gruszki, śliwki, aż po jesienne orzechy. Wieczne wyprawy na "dzierzawę" dostarczały emocji jakich nie daje żaden filmowy „nieśmiertelny” lub inny bohater nieznanych światów ani nawet zielony Shrek. Adrenalina, a potem pospolita sraczka po przeżarciu na wpół dojrzałymi owocami.

Czasami dostawaliśmy pozwolenie i po parę groszy na bilet. Wypuszczaliśmy się na pływalnię przy Sobieskiego. Wyrusaliśmy grupką, obowiązkowo po obiedzie, wyposażeni w kąpielowe slipy i tysiąc uwag, przestróg, nakazów i zakazów. Po wykupieniu biletu zwykle nie wystarczało na wynajęcie kabiny do przebierania, więc korzystaliśmy z jakiejś zdewastowanej, niezamykanej, pilnując się wzajemnie by nikt nas nie podejrzwał. Do slipów przypinało się wyposażony w agrafkę numererek od szatni i można już było kąpać się w śmierdzącej niemilosiernie chlorem ciepłej, mętnej wodzie. Zaludnienie basenu odpowiadało gęstości zaludnienia w londyńskim Soho w latach największej prosperity. Wzdłuż basenu przechadzały się piękne



dziewczyny, niektóre już w najmodniejszych „bikini” natomiast faceci paradowali w białych płóciennych slipkach z naszytym, najczęściej czerwonym, lampasem w miejscu najbardziej newralgicznym. Trzy obsługujące basen prysznicze działały lub nie, a jeżeli tak to strumień przypominał lecznicze bicze wodne, którym towarzyszyła wspaniała tęcza z rozpryskujących się o beton. Dużo czasu upłynęło nim zdecydowałem się wejść po raz pierwszy na trampolinę i skoczyć, a jak już opanowałem tę sztukę trampolinę ze względów bezpieczeństwa zlikwidowano. Pod wieczór wspaniale widowisko fundował widzom „Ruski”, starszy o kilka lat chłopak, przesiedleńca ze wschodnich kresów. Pływał na wznak z nieruchomymi rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, odpychając się tylko nogami, a w ustach trzymał nad wodą palącego się papierosa. Pokaz kończył po wypaleniu. Nasz Mietek doprowadzał go do furii biegnąc za nim i klepiąc wierszyk - wylizankę: *Kryśka, Maryśka / gotowały kluski / przyszedł do nich ruski / nasmarkał im w kluski*. Powrót do domu w mokrych ciuchach nałożonych na mokre, nie wysuszone po ostatniej kąpieli ciała, zapowiadał kolejną reprimendę. Ale czy to była moja wina? To były wakacje!

A potem przychodziła szkoła. Poprzedzały ją długie koleжки do nielicznych sklepów papierniczych. Stało się po zeszyty, kolejno w dziewięć linii dla pierwszoklasistów, przez jedenaście, aż po te w jedną linię dla tych co już posiadli (mimo że z błędami) sztukę pisania, drewniane obsadki, stalówki z krzyżykiem, ołówki „Swojak”, gumki „Myszka”, blaszane ekierki, kątomierze, cyrkle kreślące elipsy zamiast kółek, zielony (najmodniejszy) atrament i Bóg wie co jeszcze.

Zeszyty służyły nie tylko do pisania, z wyrwanych kartek robiło się wspaniałe „gołębie” i „strzały”, łódki i inne cuda ale na opanowanie tej sztuki trzeba było kilku lat spędzonych w „budzie”. Popularne zeszyty szesnastokartkowe różniły się kolorami okładek i tak w linię były żółte, w kratkę niebieskie, czyste zielone. Wspólną cechą wszystkich były umieszczone na okładce reklamowe slogany o planie sześciolatnim, który wykonamy przed terminem i dużo ciekawsze informujące o tym, „że z gnidy była jest i będzie wesz” z pięknym sugestywnym rysunkiem monstualnych rozmiarów wszy i najbardziej tajemnicze „choroby weneryczne grożą”. Tylko na niebieskich, tych w kratkę, na ostatniej stronie okładki znajdowała się tabliczka mnożenia, ściągą i pomoc naukowa.

Sadystyczni nauczyciele nie pozwalali pisać wiecznymi piórami, a później długopisami. Z piórami mieli rację bo takie pióro pisało lub nie i przeważnie zawsze „łało”. Właściciela łatwo było rozpoznać po wiecznie uwalanych atramentem rękach a atramenty były dobre, plamy zmywały się wyjątkowo trudno, nawet pumeks nie skutkował.

Rok szkolny zaczynał się w „budzie” przemówieniem jakiegoś „mitycznego” ministra, nadawanym przez skrzeczący szkolny radiowęzeł. Z radiowęzłem wiązała się szkolna legenda, a właściwie najprawdziwsza prawda. Wykonał go z niczego ojciec jednego z naszych klasowych kolegów, Pan Zębik, konstruktor i twórca sławnej akowskiej, powstańczej radiostacji „Błyskawica”.

Wcześniej prawie wszyscy lecieli pod Jasną Górę na Mszę Świętą poprzedzającą rozpoczęcie nauki. Swoiste barbarzyństwo, bo nie dość, że trzeba było wystroić się i ładnie ubranym w świąteczne ciuchy podporządkować reżimom szkoły, to jeszcze wstać blisko dwie godziny wcześniej.

Wróćmy jednak do klasy, na pierwszą lekcję, może nie lekcję. Po ministrze przemawiała Pani Kierownik (w szkołach nie było jeszcze dyrektorów, wystarczali kierownicy), surowe słowa, nakazy, ostrzeżenia. Plan lekcji na następny dzień, wykaz podręczników, nowi koledzy, koleżanki, często nowa sala klasowa, większe ławki, aż do stolików, które były udziałem siódmoklasistów. I było fajnie - aż do pierwszej wywiadówki...

Wrzesień w szkole, jeszcze luz, jeszcze zabawy w pustoszejących jesiennych ogrodach, jeszcze wygasające letnie szaleństwa.

Capstrzyki, wspaniała impreza, popołudniowa zbiórka na placu szkolnym, przemarsz „skądś dokądś i po coś”, darujcie, ale do dziś nie wiem po co.

We wrześniu witaliśmy też wojsko wracające z manewrów. Staliśmy godzinami na Placu Biegańskiego (wtedy pewnie Stalina) lub w III Alei, aż wreszcie... Szli, wyszykowani, wyglansowani, miarowym krokiem wybijając rytm podkutymi gwoździami ogólnie wojskowymi buciorami (miałem taki na pierwszym obozie wojskowym na studiach, zaręczam nie były to adidas i jeszcze onuce). Prawa szyku wojskowego są nieubłagane.

W pierwszym szeregu maszerowali dryblasy, zbierali kwiaty, papierosy, całusy. Pochód zamykały „konusy” wyciągający krótkie nogi, spoceni, niedoceniani. Wszyscy taszczyli jakieś karabiny z wielkimi talerzowymi magazynkami, a ci ostatni nieśli dodatkowo radiostacje, części CKM-ów, moździerze. Konie, a później samochody ciągnęły armaty, aż któregoś roku pokazały się czołgi a właściwie działa pancerne. Pamiętam jak stały w kolumnie na Dąbrowskiego, nawet można było do nich zajrzeć.

Potem była szkolna zimowa nuda, urozmaicana lodowiskiem, gdy „chycił” mróz i sankami lub nartami jak spadł śnieg. I tak do maja, gdy z wiosną ruszał Wyścig Pokoju, ale to już zupełnie inna historia. A z końcem maja odradzał się cykl „nowego roku szkolnego”.

Zbislaw Janikowski

Janusz Piernikarski

Survival studencki

Nie ma dla studenta lepszego miejsca niż Kraków. Ponad pół tuzina uczelni państwowych i całkiem sporo prywatnych. Kościół Mariacki, Wawel, Łagiewniki, Nowa Huta, Piwnica pod Baranami i klub „Pod Jaszczurami”, a do tego masa innych lokali – tylko bardziej znane to „Carpe Diem”, „Re” czy „CK Browar”. Biała Gwiazda, jeżeli jesteś z Gdańska lub Wrocławia, a jeśli z Gdyni czy Poznania – to Pasy. Chodzę po tych samych uliczkach co Karol Wojtyła, Piotr Skrzynecki czy, dajmy na to, hetman Tarnowski. Na jednym rogu akordeon huczy potężnie jak kościelne organy, na drugim właśnie kręca film. Do tego dodać najładniejsze dziewczyny w Polsce (a także, wśród turystek, szeroki wybór z całego świata). Jednym słowem – przyjemności. Miał głowę ten Kazimierz Wielki, gdy zakładał Akademię.

Wielu absolwentów UJ wspomina studia bardzo dobrze. Nic dziwnego, skoro każdy dzień obfituje w ekscytujące przeżycia. Zaczniemy od początku, to jest od rana. Zajęcia przypadają na siódmą i tak się składa, że są na Rynku, a ja akurat mieszkam na Bronowicach. Trzeba coś zjeść, ubrać się, a jeśli starczy czasu, to i ogolić się można. Wypijam kawę, wyskakuję na dwór (a raczej, jak mówią w Krakowie, na pole) i do autobusu. Na Rynek się nim nie dojedzie, ale można się przesiąść na tramwaj, który podrzuci mnie we właściwy rejon działań. Krakowska sieć komunikacyjna to przedmiot bardzo trudny, zwłaszcza dla studenta pierwszego roku, lecz za to nie wymaga chodzenia po wpis.

Podczas pierwszych zajęć bywam przymulony. Jeśli ciśnienie jest naprawdę kiepskie, to i na drugich trzeba pilnować oczu, żeby nie wylazły z oczodołów (najlepiej sobie przytrzymywać, ale dyskretnie). Trzecia para zajęć przebiega stosunkowo normalnie. Pomiędzy zajęciami przechodzi się do innej sali, położonej w innym budynku przy innej ulicy. Wówczas często mijam Sukiennice i Kościół Mariacki, przebijając się przez tłumy turystów kłębiące się na Rynku Głównym. Czasem mam do rozwiązania zagadkę geograficzno-lingwistyczną, zwłaszcza jeśli natknę się na żółtych – stanowią duży odsetek. Więcej kłopotu niż z cudzoziemcami

jest z wycieczkami szkolnymi: trzeba się spieszyć, bo kiedy kolumna ośmiolatek przetnie człowiekowi drogę, nic nie poradzi i musi czekać.

O trzynastej przerwa, powiedzmy, na trzy i pół godziny. Chętnie poszedłbym się rozerwać, ale najpierw trzeba załatwić pilną sprawę w dziekanacie i dowiedzieć się, czy to prawda, co na roku gadają, że jeden wykład jest przeniesiony, drugi odwołany, a na trzeci przyjedzie jakiś Hindus. Zatem do kolejki! Stoi już pod drzwiami kilkusobowy ogonek. Stoi i czasem się posuwa. Stoję, popatrując na pracowników naukowych, którzy wchodzą sobie i wychodzą swobodnie, nie przejmując się jakimiś kolejkami, dobrymi dla plebejuszy. Stosunki na uczelni mają niewiele wspólnego z demokracją. Cierpliwość jednak opłaca się: po czterdziestu pięciu minutach wychodzę. Niczego się nie dowiedziałem, ale kolejkę mam z głowy. Można iść na obiad.

W stołówce pierwsza sprawa to znalezienie miejsca i zostawienie tam torby, żeby nikt go nie zajął i żeby potem nie chodzić z tacą po całej sali. W drugiej kolejności bierze się tacę, a następnie sztućce, i już można stawać w kolejce po żywność. Po jakimś czasie zabieram zupę, drugie danie, deser i kompot. Kotletów z dzika wprawdzie nie dają, ale czasami przypadkowo nagotują czegoś, co chce się zjeść do końca. Niosę więc tacę do stolika, uważając, by nie zostać potrąconym przez faceta z irokezem i w skórzanej kurtce, który pędzi po całej sali na wózku inwalidzkim i wyjada ziemniaki pozostawione przez innych. Docieram do stołu, stawiam tacę, stwierdzam, że niczego nie ukradli – i gotowe. Można szamać. W perspektywie Wawel, Kościół Mariacki, Planty i „Jaszczury”, ale najpierw mam do pokonania dwanaście przystanków; jeżeli się uda, to tylko z trzema przesiadkami. Trzeba zdążyć na dyżur do pani profesor.

Jakkolwiek bym się śpieszył, pod gabinetem będzie koczować już kilka osób, każda z ważną sprawą. Krócej niż pół godziny nikt tam nie posiedzi. Gdy jestem pewien, że nadeszła moja kolej, pani profesor robi przerwę na kawę, bo inaczej umrze. W końcu wchodzę, ale od czekania zapomniałem, po co przyszedłem, a i słowa wydobywają się inne, niż zamierzałem. Pani profesor tłumaczy, że oczywiście, znajomość wykładów będzie obowiązywać na egzaminie.

Wkrótce pójde do Kościoła Mariackiego i na Wawel przez Planty, a potem do kina „Kijów”, ale wprawdzie jeszcze jedno. Studiowanie nie może się obejść bez siedzenia w czytelni. Kolejne zajęcia



za dziesięć minut, lecz na szczęście ten wykładowca pozwala na trzy nieobecności w ciągu semestru. Wypożyczam książkę, idę do czytelnicy, sprawdzam, czy dzisiaj nie siedzą jakieś fajne dziewczyny, i można czytać. W pomieszczeniu panuje relatywny spokój, przeto można tu się także zdrzemnąć.

Chcę drugiej książki, bardzo istotnej dla egzaminu, bo wiadomo, że pani profesor jest jej fanką i musowo zapyta. Okazuje się, że biblioteka od piętnastu lat dysponuje jednym jedynym egzemplarzem. Potrzebna lektura ukazała się na początku lat 90., kiedy wydawnictwa powstawały, aby wydać jedną lub dwie książki i natychmiast się rozwiązać, a potem nie była wznawiana. Co więcej, jakaś studentka właśnie ją czyta, i w dodatku nie jest w moim typie. Nic to! I z taką da się pertraktować. Ustalam, że przeczytała więcej niż ja, i dochodzimy do porozumienia. Ona weźmie te strony, do których jeszcze nie doszła, i szybko pobiegnie na ksero (książka, powtarzam, służy od kilkunastu lat), a ja w tym czasie nadrobię różnicę.

Po zajęciach mógłbym iść z kolegami na piwo, ale nie mam waluty, a ciągle żebrać i domagać się stawiania – to nie w moim stylu. Wracam więc na kwatery. Teraz trzeba zająć miejsce w kolejce do łazienki, bo o tej godzinie wszyscy nagle chcą się kąpać. Po kąpieli należy zrobić to, co wykładowcy zadali na jutro, przejrzeć koncepcję pracy zaliczeniowej i na koniec – zrobić kolację, a razem z nią także i śniadanie na jutro, żeby się nie spóźnić. Wawel, Kościół Mariacki i Teatr Stary zaczekają do soboty.

Nareszcie weekend! Czas zająć się czymś innym niż ciągła nauka. Najpierw idę na zakupy. Jest w Krakowie market na Alei Pokoju, niezłe wyposażony. Daleko, ale z mojej kwatery do każdego jest daleko. Wsiadam w autobus linii podmiejskiej (na przykład 228), który wiezie mnie na pętlę tramwajową „Bronowice Nowe”. Tramwaj zazwyczaj jakiś już stoi. 13 uciekła, ale mam 8. Nie dojadę bezpośrednio na Aleję Pokoju, trzeba zrobić przesiadkę. Na przystanku „Plac Inwalidów” można wskoczyć w 14, która zawozi prosto pod market. Wysiadam... 14 odjechała kilka minut temu. Na poczekaniu opracowuję możliwość awaryjną. Przyjeżdża 4 do Dworca Głównego. Jadę. Na Dworcu sprawdzam

trasy tramwajów, którymi nie jeżdżę na co dzień... dobra jest, za chwilę przyjedzie 19, którym spokojnie trafię pod Poczta Główną na rogu Starowiśniej i św. Gertrudy, dawniej Waryńskiego. Są tam trzy przystanki, a mnie chodzi o ten, do którego trzeba dwukrotnie przejść przez skrzyżowanie. Trafiam na odpowiedni. Za chwilę pojawi się 1, którą pojedę już prosto na Aleję Pokoju. Cała odyseja odbywa się na podstawie zaledwie jednego biletu. Oto korzyść z wynalazku biletów godzinnych.

W markecie upływa trochę czasu. Poprzestawiali niektóre półki i muszę się zapoznać z nowym rozplanowaniem. Kiedy naprawdę nie mogę niczego znaleźć, chcę zapytać obsługę, lecz akurat nikt w jaskrawym fartuchu się tutaj nie kręci. Przy kasie doświadczam skutków wtórnego analfabetyzmu Polaków, którzy nie potrafią odczytać „Kasa ekspresowa, do 10 artykułów”, albo nie umieją liczyć. W porządku, zakupy zrobione. Można wracać na chatę. Gdybym miał porządną bagaż, musiałbym uważać na kanarów, chociaż znam ich ulubione odcinki – np. między przystankami „Teatr Bagatela” i „Batorego”.

Powróciwszy na kwatery można wziąć się za sprzątanie: odkurzyć, przetrzeć kafelki, odetkać klozet i tak dalej. Wreszcie wieczorem, po kolacji mam czas na jakąś lekką lekturę, o ile nie będzie nic ciekawego w telewizorni.

Na zwiedzanie Krakowa i życie kulturalne (np. koncert w „Rotundzie”) pozostaje niedziela. Rano, wypoczęty, mam w sobie dużo siły. Żeby mieć wolną głowę, zabieram się za pracę zaliczeniową. Najcięższa jest sama końcówka, czyli dodawanie i poprawianie przypisów, ale do tego jeszcze daleko... Wieczorem zaś, gdy praca nad pracą zostanie na razie zakończona, będę mógł wreszcie ruszyć na podbój nocnego Krakowa. Patrząc na zegarek – wpół do drugiej! Chyba znowu nie zdążę na poranny wykład...

Życie codzienne studenta w Częstochowie wygląda zupełnie inaczej (albo podobnie). Tyle tylko, że w Częstochowie nie ma ani Wawelu, ani Kościoła Mariackiego, że nie wspomnę o Piwnicy pod Baranami.

J. Piernikarski

Anna Purska

Ludzie z probówek

W pięćdziesiątym numerze „Alej 3” zaprezentowałam najważniejsze analogie między powieściami Mieczysława Smolarskiego i Aldousa Huxleya. Teraz kolej na pokazanie różnic.

Jeden z najpopularniejszych pisarzy międzywojnia, Mieczysław Smolarski (1888 – 1967) w latach 1921 – 1930 stworzył dziewięć powieści fantastycznych o podłożu filozoficznym. Wśród nich zdumiewające bogactwem wyobraźni utopie przyszłościowe: „Miasto światłości” (1924) i „Podróż poślubna pana Hamiltona” (1928).

Wydane w osiem lat później głośnie dzieło światowej sławy pisarza angielskiego Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat” (1932) zarówno w warstwie fabularnej, konstrukcyjnej, jak i w pomniejszych niezliczonych szczegółach, okazało się być dziwnie podobne do obydwu utopii autora polskiego.

Sprawa ta bulwersowała polską opinię literacką wydając na przestrzeni kilkudziesięciu lat obfity plon w postaci licznych artykułów i polemik, a koncepcja plagiatu miała swych gorących zwolenników, do których należeli m. in. profesorowie Konrad Górski i Juliusz Kleiner.

Jednak nie wolno zapominać, że „Nowy wspaniały świat” wynikając z krytycznej i pesymistycznej oceny współczesnej cywilizacji wywodził się zarazem niezwykle konsekwentnie z całej twórczości literackiej i eseistycznej Huxleya, a także z jego intelektualnych tradycji rodzinnych.

Nie wolno też pominąć korzystnego dla angielskiego pisarza faktu, że jego książka przewidziana była przez autora jako polemika z wellsowską „Nowoczesną utopią” (*A Modern Utopia* – 1905). Musiała więc w swych założeniach i argumentach logicznie korespondować z poszczególnymi racjami i wywodem Wellsa. Korespondowała do tego stopnia, że po jej ukazaniu się zrozumiano ją przede wszystkim jako atak na Wellsa, który też poczuł się nią śmiertelnie dotknięty.

Mimo ogromnej zależności „Nowego wspaniałego świata” od utopii Smolarskiego, między powieściami obu autorów istnieje także zasadnicza różnica w przedstawieniu świata przyszłego. Różnica dotyczy

tematu demograficznego, a konkretnie sprawy manipulowania rodzajem ludzkim poprzez kontrolę i regulację urodzin.

Niebezpieczeństwa wynikające z sytuacji demograficznej świata podjęli w swych dywagacjach przyszłościowych – obaj autorzy.

W „Mieście światłości” ludzie nie rodzą się od dwudziestu lat, od kilkudziesięciu nie umierają. Ponadto nie chorują i umieją życie swoje przedłużyć w nieskończoność.

W „Nowym wspaniałym świecie” temat demograficzny potraktowany jest zgoła inaczej i usystematyzowany w ponury choć logiczny system. Dzieci w butelkach u Huxleya to wizja takiej przyszłości, w której ludzie produkowani są jak przedmioty. Temat ten nurtował Huxleya na wiele lat przed napisaniem „Nowego wspaniałego świata”. W wydanej w r. 1921 powieści *Crome Yellow* jeden z jej bohaterów, mr Scogan, mówi o utopii, w której ludzie mnożyć się będą w państwowych inkubatorach masowo, anonimowo. Proroctwa Scogana spełniły się w „Nowym wspaniałym świecie” z nadwyżką. Starą metodę rodzenia się dzieci, jako „barbarzyńską”, zastąpiono i tu „butelkowaniem”, czyli produkowaniem ludzi w probówkach, w specjalnych fabrykach, w tzw. ośrodku wylegu i przysposobienia. Z chirurgicznie wydobytego z organizmu kobiety jajnika, poddanego odpowiednim procesom i przetrzymywanego w odpowiednich warunkach, produkuje się jajeczka, które następnie zanurza się w roztworze „materiału plemnikowego”. Zapłodnione jajeczka dzieli się na typy Alfa, Beta, Gama, Delta i Ypsilon, a tym samym na różne typy przyszłych ludzi, odpowiednio do pozycji, jaką mają zająć w hierarchii społecznej. Jedno jajeczko, jeden embriion, jeden człowiek, tak powstaje typ elitarny – ludzie Alfa, najwyżsi wzrostem, najbardziej urodziwi, o najwyższym ilorazie inteligencji. Jajeczka Gama, Delta i Ypsilon wydobywa się z odczynu po 36 godzinach, poddaje kolejnym procesom, dzięki którym jajeczko dzieli się nawet kilkadziesiąt razy. W ten sposób, poprzez pączkowanie, otrzymuje się szeregi identycznych bliźniąt. Poszczególne partie ludzi mają jednakowe, ale zarazem charakterystyczne dla każdej kasty, właściwości. Ale to dopiero początek roboty. Po uodpornieniu na choroby, wyprodukowani w ten sposób osobnicy trafiają do sal przysposobienia społecznego, gdzie od maleńkiego kształtuje się ich podświadomość, aż staną się istotami li tylko produkcyjnymi, przygotowanymi do pełnienia ściśle określonych ról.



Jak wygląda przysposobienie? Ot, choćby tak... Zastępy identycznych pielęgniarek wypuszczają z klatek identyczne kilkumiesięczne niemowlęta do pomieszczenia pełnego kwiatów i książek. Niemowlaki pełzną w kierunku kwiatów, bawią się książkami, ale oto rozlega się wycie syren, a dzieci poddaje się działaniu prądu. Wśród maleństw wybucha panika. Eksperymenty powtarza się tak długo, aż dzieci znienawidzą kwiaty i książki.

Podstawową nauką w Nowym Świecie jest jednak przysposobienie przez hypnopedię, czyli formowanie umysłowości podczas snu, polegające na wpajaniu gotowych, banalnych formuł. Poszczególnym kastom wmawia się, dzięki nagrany całym lekcjom, specyficzne dla nich zadania życiowe, upodobania, antypatie. „Usłyszą to jeszcze czterdzieści czy pięćdziesiąt razy, zanim się obudzą. Poczym zostanie nadana trudniejsza lekcja. Kiedyś nareszcie umysł dziecka stanie się tymi nastrojami, suma zaś tych nastrojów będzie umysłem dziecka. Dorosłego również – przez całe życie.” – mówi dyrektor Ośrodka Przysposobienia.

I tak każda kasta ubrana jest w inne uniformy, o określonym kolorze i kroju, odróżniające ją od pozostałych. Każda przysposobiona do określonego sposobu zachowania, ma opanowany jeden określony zawód, jest całkowicie zadowolona ze swej pozycji w społeczeństwie i bez szemrania podporządkowuje się zwierzchnikom. Jedną z głównych bohaterek powieści, Lenina, należąca do grupy Beta, cieszy się, że nie jest Ypsilonem. Odpowiada jej na to Henryk: „Gdybyś była Ypsilonem, odpowiednie przysposobienie wytworzyłoby w tobie wdzięczność i radość, że właśnie nie jesteś Alfą ani Betą.

Jakkolwiek w Nowym Świecie przezwyciężono starość i doprowadzono do perfekcji medycynę, ludzie umierają, gdyż optymalną długość ich życia zaprogramowano jeszcze w probówce. Umiera się tu w specjalnych szpitalach dla umierających, które są czymś pośrednim między pierwszorzędnym hotelem a nowoczesnym kinem. Do szpitala przywozi się małe dzieci, aby oswoić je z umieraniem, jako zjawiskiem całkowicie naturalnym. Z czasem, bawiąc się wesoło wśród konających, nie reagują one zupełnie na śmierć. Nikogo też nie dziwi następująca uwaga: „Henryk mówił te słowa z radosną dumą: Jakże miło pomyśleć, że nawet po śmierci jesteśmy użyteczni dla społeczeństwa i pomagamy wzrostowi roślin”. Po śmierci bowiem ciała spala się w krematoriach, a popiołem z nich użyźnia glebę.

O ile więc ludzie w utopii Smolarskiego zdegenerowani przez nudę, pustkę, brak ideałów i pragnień, użycie i rozpustę, są jeszcze przecież w jakimś stopniu ludźmi, o tyle w społeczeństwie Huxleya nie istnieje już ludzka osobowość. Produkowani tu osobnicy, niezależnie od typu, są w gruncie rzeczy tylko bytłem roboczym, pielęgnowanym bardzo starannie według zaleceń nauki, wolnym od wszystkiego, co ludzkie, z wyjątkiem może tylko zawodowych nawyków. Ich praca nie nosi wszakże jakiegokolwiek śladu twórczej myśli czy choć aspiracji społecznych.

Jakkolwiek więc temat demograficzny w powieściach Smolarskiego i Huxleya jest na pozór zbieżny, w swych implikacjach prowadzi do całkiem odmiennych jakościowo prognoz. „Nowy wspaniały świat” jest bogatszy o niesamowitą, a zdaniem Huxleya, nieuchronną wizję „ludzi z probówek”.

„Nowy wspaniały świat” nie był w tym względzie ostatnim głosem wybitnego myśliciela. Problem niebezpieczeństwa grozących ludzkości wskutek przeludnienia podjął jeszcze w napisanym w r. 1955 eseju „Zazwyczaj”, a za dalsze trzy lata w socjologicznym „Nowym wspaniałym świecie poprawionym”. Im liczniejsza będzie ludzkość – dowodził w eseju „Zazwyczaj” – tym większy będzie napór na zasoby naturalne w poszukiwaniu środków żywności, co przyczyni się do wzrostu społecznego i politycznego wrzenia. Spowoduje to wzrost władzy rządowej i umniejszenie swobód pojedynczego obywatela. Jest bowiem oczywiste, że tam, gdzie coraz większa liczba ludzi ubiega się o środki przetrwania, każda jednostka będzie musiała pracować ciężiej i dłużej na swoją porcję, rząd zaś będzie zmuszony do coraz częstszych interwencji dla ratowania kulejącej gospodarki od całkowitej katastrofy. Równocześnie będzie musiał uśmierzać powszechne niezadowolenie, wywołane pogłębiającą się nędzą.

O ile ludzkość powiększać się będzie w takim tempie jak dotychczas – snuł swe rozważania w „Nowym wspaniałym świecie poprawionym” – pogłębiać się będą trudności gospodarcze, które z kolei spowodować muszą dalsze rygory organizacyjne. Pomijając już sprawę wolności i indywidualności jednostki, które doprowadzi się do całkowitego zaniku, wcześniej czy później dojdzie także do prób regulacji urodzin, z czasem do wdrażania ich w życie i produkowania ludzi urabianych następnie specjalnym przysposobieniem czy propagandą na potulne roboty.

A. Purska

Rafał „Jeżyk” Kasprzak

Świat według Barbary Rosiek

Barbara Rosiek jeszcze kilka lat temu była znana przede wszystkim jako prozautorka. Bardzo mocno wtargnęła do umysłów czytelników kontrowersyjnymi powieściami *Kokaina* i *Pamiętnik narkomanki*. Z wykształcenia psycholog, szczególnie interesuje się uzależnieniami. Jest członkiem Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Od kilku lat publikuje również poezję.

Jeszcze ciepła, pachnąca farbą, prosto z księgarni półki trafiła do rąk czytelników najnowsza książka poetki **Barbary Rosiek** pt. *Być poetką*. Tomik ukazał się nakładem Wydawnictwa „Miniatura”. Jego stronicę zdobią rysunki Edyty Bystron. Publikacja w całości poświęcona jest dr. Markowi Sternalskiemu, znanemu częstochowskiemu psychiatrze.

Podmiot liryczny i autorka stanowią jedną, nierozdzielalną całość. Książkę rozpoczyna wiersz bez tytułu, w jego pierwszym wersie czytamy: „*obudziłam się*”. Jest to początek wszystkiego, pomimo że:

*a to druga w nocy
czeka mnie ważny dzień
- decyzja mężczyzny i kobiety”.*

Niestety, sen nie przynosi ulgi, noc za krótka, czy dzień zbyt długi? Ucieczka od problemów jest tylko pozornym i chwilowym rozwiązaniem. Nadeszła chwila, w której *zabiłam miłość / za dużo dobrych słów mówiłeś / planowałeś nasze życie / beze mnie*. Jest to miłość nieszczęśliwa i niespełniona, która targa wnętrze, doprowadza do obłędu, destrukcji ludzkiego ciała i umysłu. Rozszczepiona pomiędzy snem a jawą zdaje się być wytworem wyobraźni. Nawet jeśli jest to uczucie tylko platoniczne i niechciane przez partnera, możemy się przekonać jak cienka jest granica, gdzie *jedno spojrzenie i ujrzałam / jak miłość przemienia się / w nienawiść*, ale zerwane kajdany pozostawiają ranę, która być może nigdy się nie zagoi, bo ciągle jest *zranione serce*. Lecz to pierwszy krok i już *nikt*

nie odbierze wolności / nie splecie ciężarem / nie do utrzymania.

Autorka ceni sobie ponad wszystko niezależność, niestety często jest ona poza granicą realnych możliwości i trudna do udźwignięcia. Udowadnia, że istnieje inny równoległy świat, który rządzi się niezrozumiałym kodeksem, a zarezerwowany jest tylko dla wybrańców, bo ilu z nas może tak naprawdę napisać, czy powiedzieć: *chowam szpitalne chaptcie pod poduszkę / kiedy zapinają mnie w pasy*. Realia szpitala psychiatrycznego są pełne wstrząsających obrazów:

*siostra miłosierdzia
uprała koszulę
nie śmierzę
dostają w nocy w twarz
zamykam oczy
nie chcę ponownie dostać kopniaka*

czy jak czytamy dalej w tym samym wierszu

*sala obserwacyjna w Tworkach
jest pełna wszy*

Przerażające jest zestawienie dwóch następujących wersów:

*nie ma gdzie przepracować majtek
mówisz że mnie kochasz*

Czy tak ma wyglądać człowiek XXI wieku? Unicestwiony przez swoją chorobę, odrzucony przez najbliższych i potraktowany instrumentalnie.

Dotychczas udało mi się przeczytać niewiele książek Barbary Rosiek, ale we wszystkich stałym elementem były szpitale, prochy, narkotyki i alkohol. Tak samo jest w tym przypadku, nie odbiega ona od stworzonego stereotypu. Zdaje się, że poetka podaje czytelnikowi informacje prosto ze źródła: *mój głód już mniejszy / modle się o trzeźwość”.*

W kolejnych utworach bohaterka przechodzi metamorfozę, staje się wolna po raz kolejny, bo:

*odstawiłam prochy i wodę
odstawiłam niebiańskie narkotyki
nawet leki bez których
halucynuję*

*(...) wyrzuciłam wszystkie
flaszki po spirytusie
brudne strzykawki zapchane igły
puste opakowania po prochach”*

Spogląda na świat zupełnie z innego punktu, gdy *na lawce leży pijak / modłę się/to już nie ja*. Zastanawiam się, na jak długo wystarczy jej wytrzymałości i co się stanie z jeszcze nie tkniętymi listkami leków. Halucynacje u Barbary Rosiek mają zupełnie inny wymiar, mentalny związany z procesem twórczym.

*nieważne że znowu halucynuję
leki w koszu
pióro z zielonym atramentem w dłoni ”*

przynosi tak bardzo upragnioną nadzieję. Jej głęboka wiara w Boga pozwala bez większych obaw patrzeć w przyszłość, jest podporą i tak mocno nadwreżonego kręgosłupa moralnego, kiedy *w mszę niedzielną / tak raz w tygodniu / Go przyjmuję / i powraca życie*, lecz w trudnych sytuacjach, np. chorobie, pisze: *oskarżam Cię Panie / że TU jestem*. Rozgoryczenie popycha do dalszych wniosków. Jeśli miłość Stwórcy jest nieskończenie wielka, to *dłaczego Panie / zostawiasz dzieci swoje tak samotnie?* To pytanie bardzo ważne, ale odpowiedź pozostanie dla nas enigmatyczna, podobnie jak sama Autorka.

Utwory w najnowszym tomiku są krótkie, wyważona, krótka fraza nie nuży odbiorcy, przez co wiersze czyta się przyjemnie. Różnorodna i niezbyt często spotykana tematyka we współczesnej poezji czynią publikację ciekawą, pozwalającą otworzyć oczy na ciemną stronę życia. Pojawiają się teksty, które są odzwierciedleniem autentycznych wydarzeń, tj. zamach na londyńskie metro czy tragiczna śmierć ks. Grzegorza Ułamka. Barbara Rosiek nikogo nie poucza, jak egzystować, ale przestrzega swoją postawą, aby w lekkomyślny sposób nie utracić szansy, jaką dał nam los.

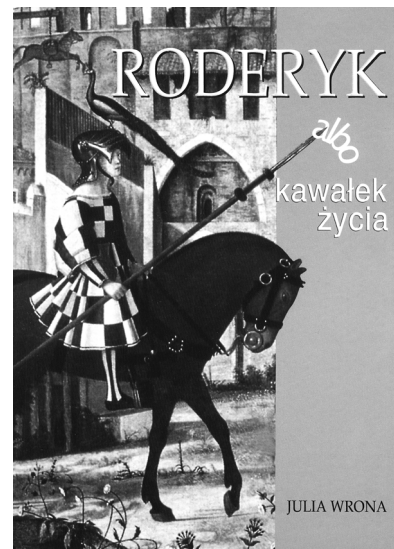
W tytułowym wierszu *Być poetą* czytamy:

*być poetą
to o jeden obłęd mniej*

Proponuję, aby Państwo sięgnęli po tą książkę i przekonali się sami, czy tak naprawdę jest.

JESIEŃ WYDAWNICZA

Przez ostatnie kilka miesięcy ukazało się na częstochowskim rynku kilka interesujących wydawnictw. Nie jest to nadzwyczaj wielki wysyp nowości, ale warto na niektóre zwrócić uwagę.



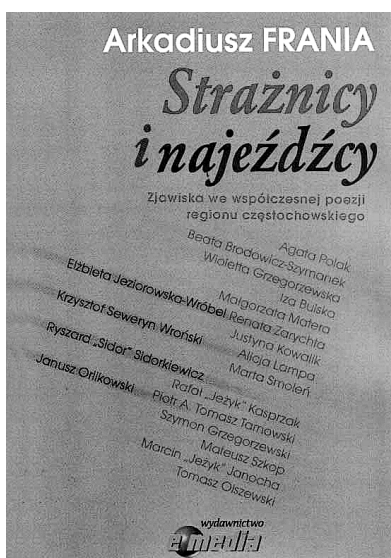
Powieść historyczna, której akcję młoda autorka **Julia Wrona** osadziła w początkach XIV stulecia. Przyjemna książeczka do czytania, z przygodami, tajemnicami i – oczywiście – templariuszami. Książeczka do szybkiego przeczytania, więc bez przesadnych ambicji ukazania epoki. Tytułowy bohater wędruje po ówczesnym świecie, penetrując rozmaite środowiska jako cyrulik, lekarz, rycerz; trafia nawet na dwór krakowski. Autorka z powodzeniem wykorzystuje znane powieściowe chwytły i sposoby prowadzenia akcji, choć należy żałować, że nader często czyni to jedynie za pomocą skrótów i haseł.

Julia Wrona przedstawia swoją wizję średniowiecza, interesującą, choć dość odległą od historycznej rzeczywistości. To po części za sprawą języka, bardzo współczesnego, zarówno w warstwie opisowej, jak i w definicjach. Taki język, w wielu partiach młodzieżowy, ma duży wpływ na sposób opowiadania, a w efekcie także i na ogólne wrażenia z lektury.

Książkę wydano w ramach Biblioteki „Niedzieli” i przy finansowym wsparciu Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Częstochowie.

Julia Wrona: Roderyk albo kawałek życia. Częstochowa 2005, Tyg. Katolicki „Niedziela”

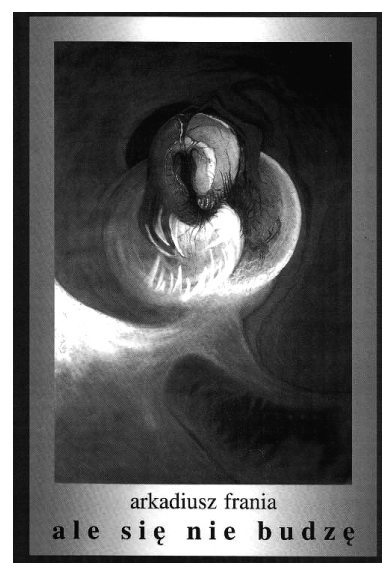
Arkadiusz Frania wydał w tym sezonie dwie pozycje: tomik poezji „ale się nie budzę” i krytyczno – literacką pracę „Strażnicy i najeźdźcy. Zjawiska we współczesnej poezji regionu częstochowskiego”. Tomik (czwarty w jego karierze) może się podobać. O ile poprzednie drażniły manierą wymaginowanego tragizmu, rozdieraniem szat nad dysonansami egzystencji, ten jest spokojniejszy, jakby autor dojrzał, poczuł pełnię swojego jestestwa, dostrzegł w końcu piękno i harmonię w otaczającym świecie, próbował chwytać za nogi ulotne chwile. Duch



carpe diem szczególnie widoczny jest w części „zapisuję sen”, gdzie więcej od snu jest obrazków przyrody, intymności nieco erotycznej, atmosfery sytości, zadowolenia, smakowania uroków życia. Nawet postać śmierci w żartobliwym wierszu „***śmierci poleciało oczko w pończosze” jest młodą, atrakcyjną kobietą, którą z wypadku ratują przypadkowi przechodnie („lejąc ukazuje naciągnięte mięśnie pośladków/ krągłość delikatnych ud”). Części „absynt” i „apokryfy” są tylko kontynuacją studiów dzieł malarskich (głównie dekadencjizm) z poprzednich tomików, ciekawe w formie, ale ile można w ten sposób bawić się w analizy obrazów? To dobre ćwiczenie warsztatowe, ale niekoniecznie dobry materiał na wiersz, w sytuacji gdy autor operuje plastycznym językiem i posiada bogatą we własne obrazy wyobraźnię oraz zmysł refleksji, obserwacji detali. W detalach Arek idzie trochę dalej i wprowadza wiele rekwizytów nowoczesności, głównie marek towarów (levisy, lavazza, sony, nord, alka, mc donald itp.), co trochę ożywia materię sztywnego wcześniej języka.

W tym tomiku Frania dookreślił się jako poeta zmysłów: „w częstochowie zaś/ arek frania/ wydiera różanopalcej jutrzence/ ciepłe ciało twego wiersza”. Jako studium przedmiotu interesujący jest wiersz „wrażenia z lektury”, którego punktem wyjścia jest tomik Szyborskiej, ale to nie on jest tematem utworu.

Druga książka Frania to efekt jego studiów doktorskich i hobbystycznych zainteresowań naukowych. „Strażnicy i najeźdźcy” są próbą opisu częstochowskiego środowiska poetyckiego

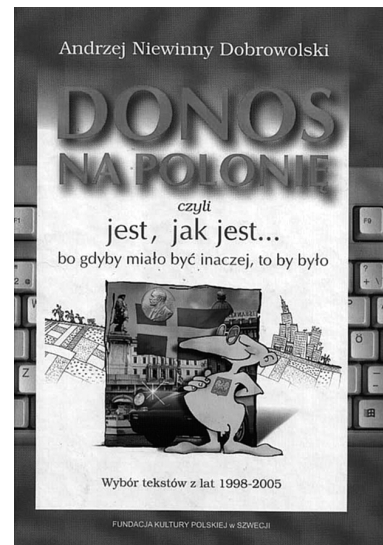


poprzez charakterystyki poszczególnych sylwetek twórców, których dzieli na „strażników” (poetów starszych, uznanych, ur. w latach 50 –tych) i „najeźdźców” (pokolenie młode, ur. w latach 70-80 - tych ub. wieku, które dopiero wstępuje w świat literatury). Najeźdźców dzieli dodatkowo według płci, ponieważ zauważa, że „poezja kobiet różni się zasadniczo od twórczości mężczyzn”. Praca dociekliwa, rzeczowa, opierająca się na bogatej bibliografii, bez zbędnych hipernaukowych wywodów jest też przewodnikiem po tym entropijnym towarzystwie samotników i indywidualistów, dla których przekleństwem jest zwrot „rymy częstochowskie” a zbiorowym kompleksem mit **Haliny Poświatowskiej**. Książka nie opisuje wszystkich twórców; jest to tylko selektywny ich wybór. Być może w przyszłości Frania pociągnie temat dalej i obejmie swoim badawczym okiem inne postacie. Rzecz pionierska, gdyż dotychczasowe opracowania skupiały się tylko na prezentowaniu wyborów twórczości w antologiach m. in. **W. Piekarskiego** i **S. Podobińskiego**. Dobrze, że ktoś ogarnął to zjawisko obiektywnym okiem.

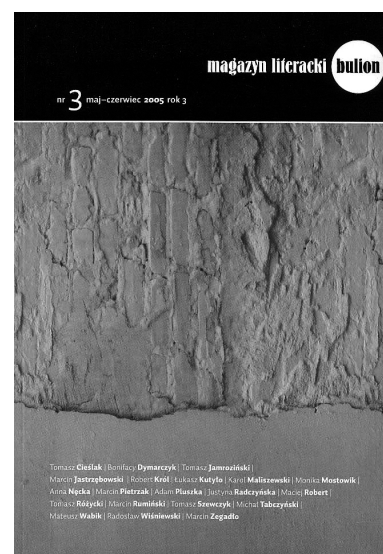


Agata Polak wydała tomik „zdyszany motyl” (swój trzeci), o którym prof. **Marian Kisiel** pisze: „Jest to poezja bardzo wyraźnie spersonifikowana, z mocno wyeksponowanym „ja”. Bezpośredniość wyrażania uczuć, myśli i wrażeń nie jest tutaj agresywna, lecz delikatna i stonowana. Wiersze o miłości czy samotności nie są wierszami wyłącznie o uczuciach, lecz przekształcają się w refleksyjne pytania o rolę człowieka w życiu, jego związki z innym człowiekiem itd.”. Z kolei **Emil Biela** zauważa, że Polak to poetka optymistyczna, wiosenna, pisze sercem i duszą, a w poezji szuka autentycznego piękna. Autorka dodatkowo zadbała o własną oprawę plastyczną tomiku. Liryka czysta, ulotna, efemeryczna.

Paradoksalnie jedyna książka napisana przez rodowitego częstochowiaka w tym gronie to „Donos na Polonię czyli jest jak jest...bo gdyby miało być inaczej, to by było” **Andrzeja Niewinnego Dobrowolskiego**. Autor (ur. w 1945) w 1968 jako muzyk z lokali gastronomicznych wyjechał na kontrakt pagartowski do Finlandii. Do kraju już nie wrócił, zamieszkał w Szwecji. Po różnych próbach prowadzenia działalności handlowej zaczął pisać felietony do pism polonijnych i krajowych, którymi zyskał sobie popularność i uznanie (laureat Światowego Forum Mediów Polonijnych, którego XIII edycja we wrześniu zahaczyła o Częstochowę) oraz tłumaczeniem książek ze szwedzkiego, angielskiego i duńskiego na polski. „Donos na Polonię” wydany dzięki pomocy Fundacji Kultury Polskiej w Szwecji jest zbiorem tychże felietonów z lat 1998-2005 (dlatego niektóre mogą wydawać się czytającemu skądś znajome), a także kilku opowiadań i życiowych

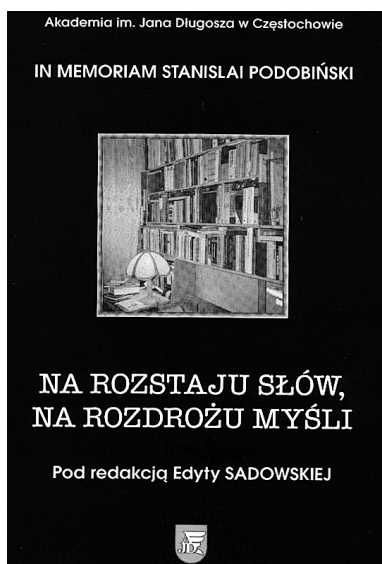


sentencji. Dobrowolski pisze lekko i z humorem, kpi z naszych wad narodowych, z Polaków na obczyźnie i w kraju, a częste podróże do ojczyzny pozwoliły mu na obserwacje zachodzących zmian (niekiedy groteskowych), które jednak rzadko eliminują nasze głupie przyzwyczajenia po poprzedniej epoce. Na pocieszenie dodam, że inne nacje nie są pod piórem „Niewinnego” lepsze i też można się z ich dziwactw śmiać. Sam o sobie pisze „szef firmy rymarsko – prozaicznej Bajer & Frajer”. Facecje z przymrużeniem oka, trochę PRL – owskich wspominków.



3 numer magazynu literackiego „bulion” jest troszeczkę zaskoczeniem, ponieważ redaktorzy postanowili całkowicie zerwać więzi z Częstochową,

eliminując z zawartości elementy regionalno - prowincjonalne (czyli miejscowych twórców), którzy mogliby zaszkodzić piśmie w zdobywaniu czytelników w innych miastach. Strategia poniekąd słuszna, a pismo nie ma przecież w nagłówku „częstochowski”. W tym numerze znalazłem tylko dwa lokalne akcenty: opowiadania nieżyjących już **M. Rumińskiego** i **B. Dymarczyka**. „Bulion” zawartością przypomina nieco podobne pisma w kraju - pojawiają się nazwiska z innych periodyków (m.in. **T. Różycki** – nominacja do Nike 2005, **K. Maliszewski**), kontestacyjne artykuły o najnowszych zjawiskach w kulturze, globalnych trendach intelektualnych, kilka recenzji ogólnodostępnych i obszernie już omówionych książek, trochę wierszy i prozy z wyższej półki. Co jeszcze? Ciekawe zdjęcia **T. Szewczyka**, przejrzysty skład. Czegoś w magazynie brakuje, może wstępniaka, który zwykle próbował niezdarnie tłumaczyć, o co chodzi wydawcom, w którą stronę idą i co zamierzają. Tym bardziej w momencie zmiany profilu pisma coś takiego powinno się pojawić. Trochę to martwe i anonimowo – bezosobowe. Poczytać można, ale niekoniecznie.



Warto wspomnieć o tych, co odeszli. Wydawnictwo Akademii im. Jana Długosza wydało pamiątkową księgę poświęconą pamięci **Stanisława Podobińskiego** (poprzedniego redaktora naczelnego wydawnictwa) – „Na rozstaju słów, na rozdrożu myśli” (pod red. **Edyty Sadowskiej**). Jak wielkim szacunkiem cieszył się Staszek w środowisku humanistycznym, mogą

poświadczyć wypowiedzi (także wierszem) licznych przyjaciół – naukowców, literatów, współpracowników, nauczycieli, budujących z okrucich wspomnień sylwetkę, charakter, filozofię tego „ambasadora kultury”, wydawcy, działacza, językoznawcy i społecznika. Prof. **F. Pluta** opracował też wykaz jego publikacji. W drugiej części („Wokół spraw języka”) i trzeciej („W obszarze literatury i historii”) można znaleźć artykuły naukowe pracowników AJD dedykowane śp. redaktorowi. W aneksie zebrano kilkanaście kolorowych zdjęć bohatera „Non omnis moriar ...”. Wiele punktów widzenia, refleksji i wzruszeń... Książkę dofinansował Urząd Miasta Częstochowy.

Na zakończenie ciekawostka – częstochowscy poeci piszą także dla najmłodszych! W księgarni „Oświata” przy ul. Kopernika znalazłem serie miniaturowych zeszytów wyd. Dom Książki z logiem „Cała Polska czyta dzieciom”, napisanych m.in. przez **Ryszarda Sidorkiewicza** i **Władysława Edwarda Piekarskiego**. Idea szczytna, tym bardziej, że na wierszowane



adaptacje legend o Szewczyku Dratewce i królu Popielu stać także najuboższych rodziców, bo np. bajkę W. Piekarskiego przeceniono z 3,60 na 1,50. Warto się pokusić, bo oprawa plastyczna **R. Bolkowskiego** całkiem sympatyczna, tylko czasem rym niezgrabny, ale co tam! („Całą noc warzyli dla smoka/ Poranne śniadanie/ Nafaszerowane solą/ Owce i barany./ Skoro świt/ Przynieśli pod jamę/ Faszerowane owce/ I barany.”)

(SB)

Arkadiusz Frania, „ale się nie budzę”, IW „Świadectwo”, Bydgoszcz 2004
 Arkadiusz Frania, „Strażnicy i najeźdźcy”, Wyd. E – Media, Częstochowa 2005
 Agata Polak, „zdyszany motyl”, Wyd. Bulion, Częstochowa 2005
 Magazyn Literacki Bulion, nr 3, Częstochowa 2005
 „Na rozstaju słów, na rozdrożu myśli”, Wyd. AJD, Częstochowa 2004
 Andrzej Niewinny Dobrowolski, „Donos na Polonię”, DW Bellona, Warszawa 2005
 Ryszard Sidorkiewicz, „Legenda znad Gopła”, Wyd. Dom Książki, Częstochowa
 Władysław Edward Piekarski, „O Kraku, Smoku Wawelskim...”, Wyd. Dom Książki, Częstochowa



25 – LECIE SOLIDARNOŚCI

Jubileusz powstania NSZZ „Solidarność” w naszym mieście uczczono serią wystaw pamiątek związanych z działalnością tej organizacji. W Bibliotece Miejskiej można było obejrzeć podziemne gazetki („Solidarność – odmieniło się oblicze ziemi”) – „Dyskurs”, „Nadzieja”, „Impuls”, „Wytrwamy”, „CDN” – drukowane i kolportowane w tzw. II obiegu. W podziemiach siedziby związku przy ul. Łódzkiej, oprócz publikacji wystawiono również flagi, plakaty, ulotki, strój więźniarki, fotografie, zrekonstruowano stanowisko imitujące posterunek MO z salą przesłuchań. Trzecią wystawę „Solidarność. Prawda przeciw kłamstwu” przygotowano w odnowionej właśnie części ratusza, prezentując kolekcję paryskiej „Kultury”, wydawnictwa politycznej opozycji przedsierpniowej, dokumenty z okresu stanu wojennego. Rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych (31 sierpnia) rozpoczęło wycie na Placu Biegańskiego, gdzie m.in. każdy mógł się podpisać na transparencie pod postulatami z 1980 roku. Na 10 listopada przygotowano obchody najgłośniejszego częstochowskiego protestu - w klubie „Ikar” przy zajezdni MPK.

Ważnym akcentem obchodów rocznicy ruchu „Solidarności” było odsłonięcie, podczas dorocznej Pielgrzymki Ludzi Pracy, pomnika ks. Jerzego Popiełuszki, zamordowanego w roku 1984 przez Służbę Bezpieczeństwa. Rzeźba Jerzego Kędziory stanęła u wylotu Alei Sienkiewicza.

XIII DNI CZĘSTOCHOWY

Trwały w tym roku cztery dni (24 – 28.VIII) i nic pechowego się nie wydarzyło. Główną atrakcją był koncert grupy T. Love, podczas którego (także przed nim i po) student Kamil Brzózka kręcił film dokumentalny o zespole dla TVP pt. „T. End?” (premiera w maju 2006). Był też hip – hopowy „Grammatik”, spektakle teatralne „Pod niebem Paryża” i „Wielki teatr świata” w wieczniku na Jasnej Górze, musical Bolesława Osiasa „Zawisza Czarny” w filharmonii, promocje książek, wystawy itp. Do organizacji Dni

włączyły się także prywatne kluby i galerie (Cafe Zebrano, Ask, Paradoks, Galeria Steel Forest), co od czasów Nocy Kulturalnych powoli staje się regułą. XXI Rajd Pojazdów Zabytkowych przeniesiono ze Starego Rynku na Plac Biegańskiego, ale czy nie lepszym miejscem byłby np. dotąd niewykorzystany na masowe imprezy Plac Rady Europy? Aleje troszeczkę się zapychają a dworzec i tak stoi pusty. Szkoda, że nie wykorzystano „Teatru From Poland”, bo jego korowody uliczne z ostatniego spektaklu „Prorok” nadałyby ciekawego kolorytu tej tak naprawdę uliczo – festynowej imprezie (najciekawsze imprezy plenerowe teatru miejskiego odbyły się po Dniach w Olsztynie oraz w piaskownicy na Parkitce).

BYLIŚMY W TELEWIZJI

Latem Częstochowa miała mocną promocję w ogólnopolskiej TV. Najpierw 17 sierpnia wakacyjna audycja TVP1 „Lato z Jedyńką” zagościła w centrum miasta. W dwugodzinnym programie pokazano m.in. klasztor jasnogórski, a prezydent T. Wrona opowiadał o miejskich sukcesach i o zmianach, jakie wkrótce nastąpią.

11 września na Jasnej Górze odbyło się ogromne przedstawienie „Częstochowska Victoria” (w reż. Jerzego Bielunasa, kier. muzyczne Marcina Pospieszalskiego), będące głównym punktem obchodów 350 – lecia obrony Jasnej Góry przed najazdem szwedzkim. Impreza typu „światło, (dym) i dźwięk” zgromadziła na błoniach podklasztornych prawie 100 tys. widzów i była transmitowana w TVP2. Wystąpili m.in. Krystyna Feldman, Maciej Kozłowski, Paweł Kukiz, Natalia Kukulska, Daniel Olbrychski (filmowy Kmicic), Mateusz i Lidia Pospieszalscy, Anna Seniuk, „Arka Noego”. Widowisko było podróżą poetycko – muzyczną przez wieki, od założenia klasztoru do czasów współczesnych. Przez cały dzień na stoisku Mennicy Polskiej można było kupić okolicznościowe monety 2 i 20 – złotowe, wybite specjalnie z okazji jubileuszu. Srebrna dwudziestka kosztowała 69 zł. Przedstawiciel Szwedów – Kjell Albin Abrahamson, który miał odczytać w OPK Gaude Mater referat pt. „Obrona Częstochowy w świadomości współczesnych Szwedów”, z powodu choroby nie przyjechał. Victoria?

MUZEUM HALINY POŚWIATOWSKIEJ

W naszym mieście powstanie Muzeum Haliny Poświatowskiej - w domu, gdzie mieszkała w latach 1946 – 1962, przy ul. Jasnogórskiej 23. Władze miasta zawarły umowę najmu ze Zbigniewem Mygą (bratem poetki) na 20 lat z możliwością przedłużenia. Dom będzie funkcjonował jako Oddział Muzeum Częstochowskiego, a pan Myga będzie jego kustoszem. Urząd Miasta przeprowadzi też remont kapitalny budynku oraz zajmie się przygotowaniem ekspozycji (część znajduje się w dotychczasowym muzeum poetki w Szkole Podstawowej nr 8). Rzeźby Jerzego Kędziory (ma tam swoją pracownię) pozostaną w ogrodzie, tworząc ciekawy klimat dla zwiedzających, wycieczek szkolnych, imprez ku pamięci Poświatowskiej. Pierwsza impreza już się odbyła – podczas II Nocy Kulturalnej wiersze poetki czytała tam Zofia Kucówna.

POMNIK ŚW. EDYTY

23 października w Lublińcu na pl. Mikołaja Kopernika odsłonięto pomnik ku czci św. Edyty Stein – s. Teresy Benedykty od Krzyża. Autorem monumentu jest Stanisław Kowalczyk. Pomnik nawiązuje do najbardziej charakterystycznych cech życia i postawy tej świętej. Przypomnijmy: Edyta Stein ur. 12 października 1891 r. we Wrocławiu w rodzinie pobożnych żydów. W dzieciństwie często przebywała w domu swoich dziadków Courantów w Lublińcu. W 1922 r. wstąpiła do zakonu karmelitanek. Zginęła w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (1942). 11 października 1998 papież Jan Paweł II ogłosił ją świętą, a następnie proklamował na współpatronkę Europy.

DNI CHRZEŚCIJAŃSKIE

Tegoroczne Dni Kultury Chrześcijańskiej poświęcono pamięci papieża Jana Pawła II oraz ks. Grzegorza Ułamka, tragicznie zmarłego kapelana częstochowskich środowisk twórczych. W czasie Dni, trwających w naszym mieście przez dwa tygodnie, przewidziano wielką ilość różnorodnych imprez - koncertów, wystaw, seansów filmowych, zorganizowanych w świątyniach Częstochowy oraz instytucjach i przybytkach kultury.

DNI PAPIESKIE

Dzień Papieski w Częstochowie to m.in. interesujący projekt pod nazwą „Zatrzymane w pamięci” – fotografie zrobione polskiemu papieżowi przez mieszkańców naszego miasta. Powstała niebywała, bardzo różnorodna kolekcja, ukazująca Jana Pawła II zarówno podczas jego pielgrzymek do ojczyzny (i do Częstochowy), jak i dokumentująca posługę polskiego papieża w świecie. Ładunek emocjonalny, zawarty w tych fotografiach, jest przeogromny.

BĘDZIE POMNIK PAPIEŻA

W centrum naszego miasta stanie niedługo pomnik Honorowego Obywatela Częstochowy - papieża Jana Pawła II.

Konkurs na monument, na który wpłynęło ponad dwadzieścia prac, zostanie lada dzień rozstrzygnięty. Mamy nadzieję, że wśród projektów znajdują się wyłącznie takie, które nas zachwycą. Wybrany przez wysokie jury projekt ma zostać zrealizowany jesienią przyszłego roku.

IMIĘ DUDY-GRACZA

Częstochowskie Stowarzyszenie Plastyków obrało za swojego patrona zmarłego niedawno wybitnego polskiego malarza, Jerzego Dudę-Gracza.

ZACHĘTA

Oficjalną działalność rozpoczęło Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie. Tworzą go artyści i ludzie kultury, pracujący nad stworzeniem miejsca pulsującego przejawami współczesnej twórczości.

Towarzystwo powstało w oparciu o ministerialny Narodowy Program Kultury „Znaki Czasu”. Celem programu jest m.in. stworzenie reprezentatywnej



kolekcji malarstwa, promocja i ożywienie mecenatu społecznego polskiej sztuki współczesnej.

Oficjalną inaugurację działalności Zachęty uświetnił (odchodzący już) minister kultury Waldemar Dąbrowski. Przywiózł życzenia, czek na sto tysięcy złotych i mały obrazek na dobry początek.

„Pragniemy, aby kreacje artystyczne Towarzystwa oddziaływały na mieszkańców, kształtowały wizerunek miasta twórczego, miejsca inspiracji – obiecuje prezes Towarzystwa, Piotr Głowacki. Planujemy poszerzyć naszą ofertę o wydarzenia najnowsze i najwyższej jakości. W planach są warsztaty twórcze z młodymi ludźmi. Nasz ośrodek będzie zawierał pracownie otwarte, prowadzące edukację artystyczną, umożliwiające roboczy kontakt młodych i dojrzałych twórców”.

Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych wspierane będzie przez Ministerstwo Kultury i Urząd Miasta Częstochowy. Władze miasta zadeklarowały przekazanie zabytkowej Konduktorowni przy ul. Piłsudskiego na siedzibę Zachęty. Będzie tu galeria i kolekcja sztuki współczesnej oraz Interdyscyplinarne Centrum Nowoczesności.

„Mamy opracowany roczny program wystaw i propozycję imprez cyklicznych – obiecuje prezes Głowacki. W roku 2006 planujemy wystawę Miry Żelechower-Aleksium w kontekście VI Triennale Sztuki Sacrum. Pokażemy wystawę Krzysztofa Stanisławskiego: Nowa Ekspresja – 20 lat. W planach są imprezy: Biennale Sztuki Nowej, Festiwal Filmów Offowych, Teatralna Scena Offowa, Scena Młodych Zespołów, Ona i On.”

Towarzystwo przystąpiło już do prac nad stworzeniem Regionalnej Kolekcji Sztuki Współczesnej. W tym celu postanowiło zaprosić do współpracy wybitne postacie polskiego życia artystycznego.

„Każda z zaproponowanych osób może wybrać do zakupu, w celu utworzenia Kolekcji, po jednym dziele od dwóch artystów. Jeden artysta pochodzi z Częstochowy i jest twórczo związany z regionem częstochowskim, a drugi - spoza Częstochowy i reprezentuje sztukę polską. Zdaniem sekcji zakupów wycena dzieł jest kwestią uznaniową, a cenę trzeba negocjować. Komisja Zakupów będzie składać się ze znawców mających kontakty z wybitnymi artystami środowisk artystycznych w Polsce i nie tylko. Komisja bierze na siebie odpowiedzialność za wybór każdego dzieła – jego jakość, znaczenie dla kolekcji, opracowanie krytyczne, skatalogowanie i digitalizację (w celu udostępnienia go publiczności). Kolekcja powinna być reprezentacją, wysmakowanym zbiorem dzieł sztuki polskiej i powszechnej. Twórczość, będąca w kręgu zainteresowania Komisji, będzie rozważona w kontekście wizji całości kolekcji, reprezentatywności artysty i tym samym proponowanego do zakupu dzieła. Ocena dzieła następuje publicznie podczas obrad Komisji” – wyjaśnił Piotr Głowacki.

ASYSTENTKA

Nowy dyrektor artystyczny Filharmonii Częstochowskiej Jerzy Salwarowski wprowadza nowinki do tej szacownej instytucji. Jedną z nich jest zatrudnienie asystenta, wybranego w drodze wyczerpującego konkursu. Prawą ręką dyrygenta została Ewa Strusińska, absolwentka Akademii Muzycznej w Warszawie. Asystentka będzie zatrudniona w ramach rządowego programu „Pierwsza praca”, co oznacza, że wynagrodzenie dyrektor filharmonii uzyska z Urzędu Pracy.

PŁYTY, FESTIWALE

Częstochowskie grupy wydają swoje dokonania na krążkach, także winylowych. Czarna płyta Habakuka „Hub – A – Dub” zawiera nowe wersje starych, reague’owych przebojów, a także nowy materiał, m.in. piosenkę „Kto”, do której nakręcono również deledysk.

„Time Square” wypuścił singla „Promieniem słońca”, który jest zwiastunem dużej płyty pt. „Bez obaw”. Materiał nagrano w studiu Jacka Otręby (Formacja Nieżywych Schabuff), który jest także producentem płyty.

Częstochowianie wzięli również udział w nagraniu płyty „Sunu Music” Tam Tam Projectu (Piotr „Jackson” Wolski jest autorem muzyki i tekstów do większości utworów, producentem, perkusistą i wokalistą, obok niego w zespole grają m.in. Tytus Wojnowicz i Mamadou Diouf, na okładce wykorzystano prace rozchwytywanego ostatnio Tomasz Sętowskiego); oraz krążka Zakopowera „Musichal” (Pomaton), który zrobił furorę na festiwalu w Opolu. Mateusz Pospieszalski (producent) skomponował na niej większość „góralskich” piosenek.

Sukcesem grupy Pipes & Drums zakończył się III Ogólnopolski Festiwal Muzyki Celtyckiej w Będzinie. Grający oryginalną szkocką muzykę na dudach młodzi muzycy otrzymali Grand Prix, wyprzedzając 20 innych, bardziej utytułowanych wykonawców.

CZĘSTOCHOWA W KADRZE

Kolejna edycja konkursu pod tą nazwą przyniosła Grand Prix – Nagrodę Prezydenta Częstochowy - Krzysztofowi Kamińskiemu za film pod w/w tytułem. „Za oryginalność języka, użycie różnorodnych gatunków filmowych oraz poczucie humoru” – czytamy w uzasadnieniu.

Nagrodzono także filmy Pawła Bartosika („Jak fajnie, że przyjechaliśmy”, I Nagroda), Wojciecha Janasa „Spowiedź”, III Nagroda) oraz Krzysztofa Kamińskiego („Subkultury”, II Nagroda).



Fot. Piotr Dłubak

SZYMON PARAFINIAK

ur. 1966, absolwent Wydziału Grafiki ASP w Krakowie. Projektuje plakaty muzyczne i teatralne, albumy i wydawnictwa artystyczne. Prowadzi własne studio graficzne i wydawnictwo - Graffiti. Współpracuje z galeriami sztuki, teatrami i klubami muzycznymi. Współorganizator Festiwalu GARAŻ w Częstochowie. Współzałożyciel Fundacji Jasna Chmura. Sekretarz Zarządu Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie.

Udział w wystawach:

- 1991 - Galeria Del Bello, Toronto - "Miniatury"
- 2003 - Ośrodek Promocji Kultury GAUDE MATER - Częstochowa - "R(Y)TMY częstochowskie"
- 2004 - Festiwal GARAŻ - Częstochowa - "Plakaty muzyczne"
- 2005 - Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie - "Ojcowie i córki" - portrety
- 2005 - Biblioteka Główna Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie - "Materia książki"
- 2005 - Shott - Częstochowa - "Genesis - Malarze Zachęty"
- 2006 - Ośrodek Promocji Kultury GAUDE MATER - "Szufflada"

Oprac. okładki zewnętrznej: Szymon Parafiniak, foto: Tomasz Gębuś

